MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIX NR 10 (nr 9 skonfiskowano) WARSZAWA 26 LUTEGO 1939 R CENA NUMERU 80 GR

JEDEN JEST POLSKI NACJONALIZM

OD ZARANIA dziejów przynosi nam historia przykłady walk o ideje, walk zaciętych i często niemniej krwawych od walki o chleb lub władzę. W ciągu jednak dziejów obserwujemy coraz większe ich natężenie, a w nowszych czasach przybrały one specjalnie wyraźne formy, w związku z integralizmem cechującym silnie nowsze prądy umysłowe, których ambicją jest przerobić na swoją modłę całe życie człowieka, we wszystkich jego dziedzinach.

Panowanie jednak ich jest krótkotrwałe; najpierw zdobywają sobie w ciężkiej walce miejsce w społeczeństwie, wypierają poprzednie, by po krótkim triumfie ulec nowym, dopiero torującym sobie drogę poglądom. Poglądy te, nieraz zupełnie fałszywe i na błędnych oparte założeniach, zdobywały sobie mimo to panowanie i w pewnych momentach ogromna większość ludzi idąc za modą lub poprostu bezmyślnym popędem, przyjmowała je za swoje i stawiała na ołtarzu swoich świętości.

Tak było z hasłami Wielkiej Rewolucji: wolności, równości i braterstwa, z których to, skądinąd pięknych ideałów, zrobiono gwałtem ideje, zapominając, że same w sobie, są one jedynie pustemi frazesami. A ileż mimo to trzeba było wysiłków, aby te hasła przestały być nietykalnemi świętościami.

Podobnie wiara w stały i wieczny postęp, przeniesiona najniesłuszniej w świecie z dziedziny techniki w sferę kultury duchowej, jakiem się stała nietykalnem *tabu* na długi okres czasu, jak „hańbiącym" był wówczas zarzut zacofania.

Ten moment zwycięstwa i triumfu idei jest dla niej szczególnie niebezpieczny i niesie w sobie nieraz zarodki degeneracji i upadku, wtedy bowiem kończy się krytycyzm, a zaczyna bezmyślne naśladownictwo. Wielu ludzi zaczyna się pod nią podpisywać, ale mało kto rozumie ją naprawdę i najczęściej — w tym momencie — przyjmujący ją ogół wykoszlawia i paczy jej początkową intencję.

W takiej to sytuacji znalazł się w chwili obecnej nacjonalizm w Polsce. Początkowo kopciuszek w tłumie różnych frazesów, — którego wyznawcy byli nieomal wytykani palcami, krytykowani przez wszystkich, posądzani o ciemnotę i zacofanie, — dziś stał się zwycięzcą.

I z tą chwilą zaczęli się doń wszystcy przyznawać.

Jedni robią to z wyrachowania politycznego, rozumiejąc, że nie można się mu przeciwstawiać nie będąc przezeń zgniecionym i wyrzuconym poza nawias wpływów. Mianują się więc nagwałt nacjonalistami, a jednocześnie celowo usiłują zaciemnić jego ścisłe znaczenie, i uelastycznić granice tego pojęcia, aby się łatwiej doń przyczepić z balastem dotychczasowych poglądów, które gwałtownie upodobniają do nacjonalizmu lub co gorsza, nacjonalizm usiłują do nich nagiąć.

Drudzy poprostu, idąc biernie za głosem większości, przyjmują to, co w tej chwili jest modne i powszechnie uznane, przyjmują też nacjonalizm, tak jak przyjęliby każdy inny zwycięzki prąd duchowy, panujący w ich czasach. Ci poprostu nie rozumieją właściwej treści pojęcia nacjonalizmu, a operując czczemi frazesami bezwiednie mącą sobie i innym w głowie.

Szczególnie wiele pisano w ostatnich czasach o nacjonalizmie w okresie powstawania „Związku Młodej Polski", a więc mniej więcej przed rokiem, kiedy gwałtownie dążono do zatarcia „dawnych linii podziału". Wtedy w jednym z artykułów młodego działacza mieniącego się nacjonalistą i to „radykalnym" znalazłem takie zdanie, po przeczytaniu którego naprawdę nie wiedziałem, do której grupy mam zaliczyć jego autora: „Nacjonalistą był Wielopolski, ale nacjonalistami byli również Traugutt, Dołęga-Sierakowski, lub ks. Brzóska, nacjonalistą jest Dmowski,

ale jakże wyraźnym nacjonalistą był Piłsudski.... Każdy z tych ludzi był wyrazicielem pewnego typu nacjonalizmu" [1]).

Mamy więc już kilka typów nacjonalizmu, coś jakby kilka linii prostych między dwoma punktami: naród a jego droga dziejowa, — nonsens oczywisty, wypływający z całkowitego niezrozumienia istoty nacjonalizmu.

Wielopolski był Polakiem wielkiej miary, miał wielki plan polityczny, kto wie czy nie najlepszy w ówczesnych warunkach, zresztą nikt inny jak właśnie Obóz Narodowy dokonał jego rehabilitacji w historii, ale to nie wystarcza, by nazywać nacjonalistą człowieka, który mawiał, że dla Polaków można coś zrobić, ale z Polakami nigdy. Czyż Traugutt, bezwątpienia najpiękniejsza postać Polaka w XIX wieku, ale z przekonań „demokrata" (według dzisiejszej nomenklatury politycznej), może być uważany za nacjonalistę? Czy wreszcie Piłsudski, który swój plan polityczny realizował przy pomocy oddanej sobie grupy, nieraz przeciw opinii narodu, — co sam nieraz podkreślał — jest nacjonalistą? [2]).

Idąc po tej linii, nie widzę powodów, dla których nie mielibyśmy uznać za nacjonalistów Sobieskiego, Batorego i Bolesława Chrobrego, byli to więc nacjonaliści bez... narodu, gdyż wtedy wykształconego pojęcia narodu, — w dzisiejszym tego słowa znaczeniu — nieznano.

Ludzie ci byli patriotami, więcej — byli rozumnymi Polakami, kierującymi się nie tylko sercem lecz i głową, ale to jeszcze mało, by nazwać ich nacjonalistami.

Cytowano szereg przykładów dla rozróżnienia między patriotą, a nacjonalistą, między innymi, słyszałem przykład z bieżącej polityki, o którego słuszność nie chodzi mi w tej chwili. Gdyby Polska miała do wyboru: zgodzić się na wzrost potęgi Niemiec przez rozbiór Czechosłowacji, zyskawszy wzamian Śląsk Zaolziański, lub też za cenę jego utraty uniemożliwić Niemcom dokonanie tego zaboru — patriota wybrałby rozwiązanie pierwsze, nacjonalista — drugie.

Z przykładu tego wynikają odrazu różnice między jednem i drugiem stanowiskiem, nacjonalizm zwany też bywa na tej podstawie patriotyzmem rozumnym. Rozróżnienie to jest słuszne, ale żadną miarą służyć nie może za punkt wyjścia do rozważań nad istotą nacjonalizmu chociażby z tego powodu, iż z określenia tego wynikałoby, iż nacjonalizm to produkt chłodnej spekulacji umysłowej patrioty. Tymczasem takie mniemanie jest zgruntu fałszywe.

Nacjonalizm to nie tylko umiłowanie ojczyzny, to nie tylko patriotyzm i nie tylko program i działanie zgodne z interesami i aspiracjami narodu, ale nacjonalizm to więź psychicznej jedności między narodem jako całością, a jednostką, która w jego skład wchodzi. To zaś działanie jest tylko wyrazem zewnętrznym, albo nawet konsekwencją właściwego nacjonalizmu.

Na czem polega istota tej więzi tak silnej, a jednocześnie tak nieuchwytnej dla oka, albowiem pojęcie nacjonalizmu odnosi się do sfery duchowej, a więc do tej, w której obiektywne, analityczne rozumowanie zawodzi? Definicji materialnej właściwie dać nie można, trzeba poprzestać na formalnej, których mamy wiele, mniej lub więcej trafnych. Mojem zdaniem określenie zawarte w artykule prof. Rybarskiego w 47 numerze Myśli Narodowej jest najbardziej przekonywające: „Nacjonalizmem nazywamy prąd duchowy, który fakt narodowej wspólności bierze za podstawę życia politycznego i całego zbiorowego życia".

O istocie tego prądu trudno wiele powiedzieć, szczególnie zaś człowiekowi, który nie jest nacjonalistą, powstał on bowiem nie ze spekulacji umysłowej lecz z pewnej postawy psychicznej. Na czem polega istota nacjonalizmu, pisze nam Roman Dmowski: „Nie umiałbym powiedzieć, gdzie pierwej, we Francji czy we Włoszech, użyto wyrazu nacjonalizm dla określenia nowego ruchu narodowego. Byłem zawsze zdania, że to termin nieszczęśliwy, osłabiający wartość ruchu i myśli, którą ten ruch wyrażał. Wszelki „izm" mieści w sobie pojęcie doktryny, kierunku myśli, obok którego jest miejsce na inne, równorzędne z nim kierunki. Naród jest jedyną w świecie naszej cywilizacji postacią bytu społecznego, obowiązki względem narodu są obowiązkami, z których nikomu z jego członków nie wolno się wyłamywać: wszyscy jego synowie winni dla niego pracować i o jego byt walczyć, czynić wysiłki, żeby podnieść jego wartość jak najwyżej, wydobyć z niego jak największą energię w pracy twórczej i w obronie narodowego bytu".

Roman Dmowski jest przeciwny tej nazwie, której obóz narodowy sobie nie nadał, a którą narzucili przeciwnicy, ale skoro się przyjęła, naszą jest rzeczą, byśmy mu nadali sens właściwy.

Trudno o trafniejszą syntezę istotnych cech nacjonalizmu, w świetle której specjalnie łatwem jest rozróżnienie — będące powodem tylu nieporozumień — między samym nacjonalizmem jako postawą psychiczną, a jej konsekwencją: programem działania, który zresztą ulega wielu zmianom w czasie i w przestrzeni.

Bo nacjonalizm ani sam nie jest doktryną, ani też doktryną nie może stać się w żadnym wypadku jego program, który dostosować się musi do żywego organizmu, jakim jest naród, do zmiennych warunków jego egzystencji i do różnych, w każdym momencie możliwości. Program narodowy nie może naginać życia do swoich koncepcyj, ale musi je obserwować, rozumieć i umieć jak najlepiej wykorzystać.

Aby jednak nacjonalizm mógł się w narodzie wytworzyć, aby mogła powstać ta więź duchowa zwana nacjonalizmem, musi być nie tylko wykształcony naród, ale również jego członkowie muszą być do niego odpowiednio nastawieni, rzec by można, wychowani i przygotowani duchowo. Zrozumiemy wtedy, dlaczego wszystcy wielcy pionierzy nacjonalizmu byli najpierw wielkimi wychowawcami swego narodu, a często byli literatami, naukowcami, a dopiero na ostatku politykami. Zjawisko to zaobserwować można przy powstaniu wszystkich wielkich ruchów narodowych, a szczególnie Ruchu Wszechpolskiego, który był najstarszym, a jednocześnie najgłębszym ze wszystkich.

Najpierw Balicki, Popławski, Dmowski, Chrzanowski, Rostworowski i Wasilewski wychowali

---

[1]) „Młoda Polska" mies. Nr. 1 artykuł M. Zarzyckiego p. t. „Kończymy z tragicznym zatargiem".

[2]) Obecnie znowu tę teorię głosi „Merkuriusz", omawiając stosunek Dmowskiego do Piłsudskiego.

swoje pokolenie, a dopiero później powstała narodowa myśl polityczna.

Myśl, która jest konsekwencją nacjonalizmu, ale która nie stanowi jego istoty. Można być w Polsce antysemitą, można żądać usunięcia etatyzacji, przeprowadzenia reformy rolnej i t. d., a nie mieć nic wspólnego z nacjonalizmem. W jednym narodzie nacjonalizm może być jeden i tylko jeden, jedynie jego wyznawcy mogą z niego wysuwać mniej lub więcej słuszne nakazy swego postępowania.

Nie chciałbym, aby mi zarzucono ekskluzywizm, że za nacjonalistów uważam jedynie członków Stronnictwa Narodowego. Bynajmniej nie uważam tego za przywilej wyłączny Obozu Narodowego. Nacjonalistą może być człowiek nawet wrogo do nas usposobiony, na skutek pewnych okoliczności zewnętrznych, ale chodzi mi o to, by za podstawę oceny jego nacjonalizmu brać jego stosunek do narodu i jego potrzeb, a nie jego zewnętrzne działanie czy poglądy polityczne. To, że ktoś w pewnym fragmencie swoich poglądów jest z nami zgodny, nie znaczy jeszcze, by był takich samych przekonań.

Jeśli wyraziłem swoje poglądy w ten sposób, to zrobiłem to z całkiem innych przyczyn. Nacjonalizm oparty jest, w mojem najgłębszem przeświadczeniu, na słusznych podstawach, dla tego powinien uniknąć losu tylu innych modnych w swoim czasie poglądów. Rozwijać się i pogłębiać powinien tak długo, jak długo istnieć będzie naród. Dlatego tak pewni jesteśmy my wszyscy, narodowcy, jego zwycięstwa, gdyż z każdym dniem rozwoju świadomości narodowej umacnia się stanowisko nacjonalizmu.

Jedno mu tylko może grozić niebezpieczeństwo, że się wykolei, że pod wpływem tylu usiłowań, aby właściwy sens jego zatrzeć, zagubi się trzeźwa myśl, nad wykrzesaniem której tylu ludzi pracowało. Nacjonalizm nie załamie się, ani nie przeżyje, jedynie może się wypaczyć. Jeśli go od tej degeneracji potrafimy uchronić, prędzej czy później zwycięży.

K.

DOKOŁA WORCELLA

(C. dalszy)

VI

Ów „Ład wersalski", wraz z nami i innymi sprzymierzonymi, tworzyła Francja. I znowu zastanowić musi każdego, kto zechce chwilę o tych rzeczach pomyśleć, że propaganda niechęci do Francji potrafiła przesączyć się nawet w szeregi obozu narodowego. Jak, dlaczego? Że są w Polsce ludzie chorzy na Francję od ćwierć wieku, to można zrozumieć, choć nie można usprawiedliwić, ale jak to trafiło do obozu narodowego?

Demoliberalizm, partyjnictwo, wolnomularstwo, front ludowy, polityka Ligi Narodów, bezsiła w polityce zagranicznej, przyjaźń z Czecho-Słowacją, układ z Rosją, nieliczenie się z Polską, błędy w stosunku do Niemiec, Włoch i Hiszpanii, upadek wpływów w Europie... Te i inne ubolewania, jakby stworzone na to, by w umysłach narodowców, (zwłaszcza o ile czytają Pata i słuchają Radia) wzbudzić współczucie dla tego tak sympatycznego kraju! będącego dziś w takim upadku! i przekonanie, że w tych warunkach — cóż, trudno! polityka Polski musiała być taka, jaka była.

Jak łatwo o takie współczucie nie na miejscu, znowu pokazuje artykuł p. t. „Biedna Francja" (M. N. nr. 54). Pisząc o książce René Benjamin'a *Chronique d'un temps troublé,* sympatyczny autor nazywa ją jednym z najbardziej charakterystycznych, a zarazem najbardziej beznadziejnych dokumentów naszej epoki. Kończy zaś temi słowy: „Ten kraj był naszym najserdeczniejszym przyjacielem. Patrzyliśmy z dumą i podziwem na ziemię, która wydawała w różnych epokach Ludwika, Joannę czy Teresę. Czuliśmy wspólnotę naszych dążeń. Dziś to się skończyło. Ma rację Benjamin: imiona ludzi, z których Francja mogłaby być dumna, czyta się tylko na pomnikach grobowych... Wszystko zaś inne jest albo zgnilizną, albo małością. Straciliśmy przyjaciela. Musimy ufać tylko sobie."

Nie wiem, ile lat autor spędził we Francji, jak dalece poznał społeczeństwo francuskie, zwłaszcza prowincję, jego zasoby materialne, jego wartości i siły moralne, jego cywilizację? Jeżeli nie dosyć, jak głęboko studiował Francję z książek? Co jest to „dziś" nad którym tak ubolewa? Ostatnie lata, czy tych lat dwadzieścia, które nas dzielą od wojny światowej? Jeżeli tak, to jak na naród, który z dumą wskazuje dwadzieścia wieków swych dziejów, czterdziestu królów, co w ciągu tysiąca lat budowali państwo, wreszcie karty historii, nazwane *gesta Dei per Francos,* to byłoby diablo mało dla uzasadnienia takich sądów. A może to „dziś" obejmuje także okres przedwojenny? W takim razie, jak wytłumaczyć, że ta małość i ta zgnilizna zdobyły się na cztery lata bohaterskich najcięższych bojów, jakie zna historia, na cztery lata p o ś w i ę c e ń bez granic ludności cywilnej, warstw oświeconych, ludu wiejskiego i miejskiego, mężczyzn i kobiet? Jak wytłumaczyć, że ten naród stał się doskonale funkcjonującą organizacją wojenną, gdzie każdy pełnił swój obowiązek z prostotą i bez wahania, patrzył w twarz niebezpieczeństwom z zimną krwią i pogodą, składał najcięższe ofiary z powagą, lecz bez szemrania? Jak mógł wznieść się do imponującej jedności duchowej, wystawić najwspanialszą armię, dać jej najlepszych wodzów i odnieść walne zwycięstwo?

Nie, doprawdy, możemy być spokojni, że Francja da sobie radę z frontem ludowym i Blumem, z najazdem żydowskim i z komunizmem, że otrząśnie się z rzeczywistych wad ustroju i błędów polityki zagranicznej, że spłucze z siebie błoto, którem niebacznie pozwoliła się obryzgać. Ma po temu wszelkie warunki, nietylko materialne, ale i duchowe: wysoko stojącą naukę, głęboki patriotyzm, coraz mocniej bijące źródła wiary gorącej i czynnej. Pamiętajmy, że to ta sama Francja, która ofiarą miliona swych poległych umożliwiła odbudowanie państwa polskiego, z którą w całkowitej, pełnej zaufania harmonii (co nie wykluczało upartych nieraz, ale zawsze lojalnych starć), współpracował Komitet Narodowy i Delegacja kongresowa. Tylko, na Boga, nie przykła-

dajmy do niej naszej miary, nie wymagajmy, żeby się stosowała do naszych wzorów.

Przykładem, jak błędnie można ją sądzić, jest nieporozumienie z książką R. Benjamin'a. Pisarz francuski zebrał na jej kartach objawy zła, które zagraża jego krajowi, nie po to, żeby się niemi z upodobaniem bawić, lecz by zatargać sumieniami. Francuz nie założył sobie pisać o tem, co w jego kraju jest zdrowe, wielkie i święte, lecz o tem, co jest złe, i tu ma odwagę pisać o wszystkiem, nawet kondensować barwy. U nas... u nas jedni robiliby z tego niezdrową sensację, inni wahaliby się pisać o sprawach bolesnych dla sumienia narodowego, jeszcze inni nie chcieliby zdradzać naszych wad i naszej słabości obcym (którzy o wszystkiem, co się w Polsce dzieje, są poinformowani dokładniej, niż my sami); a gdyby się znalazł polski R. Benjamin, napotkałby po drodze cenzurę administracyjną i sądową, dekret prasowy, kodeks karny z uproszczoną procedurą, dekret o ochronie Państwa... We Francji pisarz może dotrzeć do najbardziej wstydliwie ukrywanego zła, wydobyć je na jaw, stoczyć z niem otwartą walkę na łamach pism i na kartach książek, w opinii publicznej, w parlamencie i, co najważniejsze, w sumieniu rodaków. U nas jedna dzielnica może przeżywać najpoważniejsze zdarzenia, inne nawet o miedzę, nic o tem nie wiedzą: dla nich tych zdarzeń poprostu nie ma; Europa może trząść się od wiadomości o sprawach najbliżej nas obchodzących, a my rozkoszujemy się spokojem błogiej nieświadomości: w Polsce te fakty nie istnieją. Takie są „osiągnięcia" techniki rządzenia.

Francja popełniała wielkie błędy w swej polityce zagranicznej i w rezultacie, „wygrawszy wojnę, przegrała pokój". Nie będziemy się nad tem rozwodzić. Francuzi mają wolność i odwagę najostrzejszego wytykania własnych błędów i czynią to bez litości. My, zamiast spowiedź czynić z cudzych grzechów, mamy obowiązek — choć nie zawsze możność — mówić o swoich. Układ stosunków leżący w naturze rzeczy i niezależny od naszej woli jest taki, że pokój, który przegrywa Francja, przegrywa tymsamym i Polska, dla której znowu z natury rzeczy stwarza to niebezpieczeństwo o wiele większe, niż dla Francji. Tę solidarność rozumiano z obu stron podczas wojny i konferencji pokojowej, i umowa polityczna z 10 lutego 1921 r. dotąd obowiązująca, jest tylko formalnym jej wyrazem. Zobowiązuje ona obie strony do działania w porozumieniu we wszelkich sprawach polityki zagranicznej, dotyczących obu państw i mających związek z uporządkowaniem stosunków międzynarodowych w duchu traktatów i zgodnie z paktem Ligi Narodów (którego najważniejszem postanowieniem jest wzajemna gwarancja całości terytorialnej i niepodległości wszystkich członków Ligi: art. 10). Zobowiązuje dalej oba rządy do zasięgania wzajemnie zdania, przed zawarciem nowych układów, dotyczących ich polityki w Europie środkowej i wschodniej.

Trzebaby wiedzieć, czyśmy we wszystkich wypełniali swe zobowiązania? A tu nie chodzi tylko o obowiązek prawny, ani o lojalność względem własnego podpisu, lecz także o to, że znając, a przynajmniej mogąc znać lepiej stosunki tej części Europy, mogliśmy byli zapobiec popełnianiu przez Francję niektórych przynajmniej błędów, jak zapobiegał im Dmowski w czasie wojny i konferencji pokojowej. Tu obie strony mają jednakowe prawa i obowiązki — i równy głos. Czyśmy z naszego prawa korzystali, czy też przyglądali się wypadkom jakby z loży, komentując nie bez złośliwości błędne lub nieudane posunięcia, jakgdyby nie o nas przedewszystkiem chodziło? Więcej: konieczność sprawiła, że umowa z 1921 r. ma znaczenie głębsze, niż wyrażające ją słowa. Czyśmy spełnili swe obowiązki sprzymierzeńca? Czyśmy wyciągnęli wszystkie konsekwencje i poczynili wszystkie przygotowania na wypadek *casus foederis*, tembardziej, iż było wiadomo, że zamiary Niemiec łatwiej się skierują na wschód, niż na zachód?

Ale pakt z Rosją. Nie godziłem się w jego ocenie nawet z niektórymi przyjaciółmi politycznymi. Przypuśćmy, że był niepożądany: czy sprawy nie byłyby poszły inaczej, gdyby Francja wiedziała, że może liczyć na Polskę?

Ale Francja opuściła sprzymierzoną Czecho-Słowację, więc i Polska nie mogła na tem przymierzu budować. Prawda. Było to ukoronowaniem wszystkich błędów, zburzeniem równowagi europejskiej na wyłączną korzyść Niemiec, podkopaniem własnego stanowiska politycznego i moralnego w Europie, zwłaszcza środkowej i wschodniej, pogwałceniem zobowiązań Francji, która nas przecie do takiego widowiska nie przyzwyczaiła. Kiedyś będziemy mieli więcej materiału do odpowiedzi na pytanie, o ile przyczyniła się do tego, jak pisze p. Mackiewicz, polityka polska.

Ale polityka francuska nie jest samodzielna; jest ona związana z polityką brytyjską. Niewątpliwie tak jest w znacznej mierze. Nie mogę oprzeć się natrętnemu pytaniu, czy W. Brytania nie patrzy przychylnem okiem na to, co się dzieje w Europie środkowej i wschodniej? Osłabić Francję przez podkopanie jej tak silnej do niedawna pozycji w naszej części Europy, nadać jej polityce charakter ciasno obronny, zwrócić ją wyłącznie ku obronie kolonii własnych i angielskich, byłoby to przytroczyć Francję do siebie i zostawić Niemcom wolną rękę na wschodzie, a więc co najmniej zyskać na czasie i może nawet zapobiec niebezpieczeństwom grożącym gdzie indziej [1]). Pamiętajmy, że W. Brytania jest mocarstwem światowem, i sprawa życia i śmierci tego lub innego państwa w Europie — np. Czecho-Słowacji — jest dla niej w danej chwili czemś dużo mniej ważnem, od chmur, które zaczynają się zbierać w innym punkcie globu. I znowu: czy położenie nie byłoby dziś inne, nieskończenie dla Polski korzystniejsze, gdyby polityka nasza innym była się potoczyła torem? Czy Francja nie byłaby zachowała swobody ruchów, i przez to przyczyniła się do utrzymania równowagi Europejskiej?

Dziś we Francji rozlegają się głosy, że umowa z roku 1921 już nie obowiązuje, jakoby dla tego, żeśmy nie wypełnili warunków, albo ze względu na zmienioną sytuację, albo dla tego, że obowiązywała obie strony do współdziałania w duchu traktatów i zgodnie z paktem Ligi, które już właściwie nie istnieją. Ani jedno z tych uzasadnień nie wytrzymuje krytyki, ale nie o tem chcę mówić. Życie, silniejsze od pisanej umowy,

---

[1]) *Times* pisały niedawno, że sojusze wschodnie Francji stanowiły niebezpieczeństwo dla pokoju, bo zmierzały do okrążenia Niemiec, i że ich upadek tylko zacieśni stosunki francusko angielskie.

nakazuje obu państwom współdziałanie silniejsze, niż kiedykolwiek. Gdyby Francja chciała odwrócić się od Europy i zająć tylko swem imperium kolonialnem (niektórzy podsuwają jej takie samobójcze zamiary) przekonałaby się rychło, że to jest niemożliwe. Nawet Anglia nie potrafi dokazać tej sztuki. Dziś, więcej niż kiedykolwiek, dzieło budowania jakiegoś ładu europejskiego wymaga współpracy Polski i Francji przedewszystkiem, a trzeba wiedzieć, że i Anglia, przekonawszy się o niebezpieczeństwach, jakie dla niej płyną z monachijskiej polityki, przyłączy się do pozytywnego planu zabezpieczenia Europy przed katastrofą gorszą, niż nią byłaby wojna 1918 r. W tej polityce powinniśmy odróżniać Francję rzeczywistą, wieczną, od Francji oficjalnej, przemijającej, znać i rozumieć jej ludzi, ale nie mieszać się do jej spraw wewnętrznych, bo to do nas nie należy; i zamiast pytać, kto prowadzi politykę Fracji, winniśmy patrzeć tego, co do nas należy: kto i jak prowadzi politykę w imieniu Polski.

(D. c. n.) BOHDAN WINIARSKI

O KSIĘDZU KAZIMIERZU

Piętnaście lat temu w dniu 13 stycznia 1924 r. Roman Dmowski wygłosił przemówienie na akademii żałobnej ku czci ś. p. ks. Kazimierza Lutosławskiego, (w Filharmonii Warszawskiej). — Stenogram tej mowy, pochodzącej ze zbiorów p. Tadeusza Zglińskiego, stenografa, nie był przejrzany przez mówcę i nie był dotąd publikowany.

SZANOWNI Państwo! Żebraliśmy się tutaj, ażeby poświęcić godzinę pamięci człowieka, który świeżo od nas odszedł, a który tak wybitne miejsce w naszem życiu zajmował. Jeszcze dwa tygodnie temu mieliśmy Go wśród nas w całem napięciu pracy i walki. Dziś na tem miejscu utworzyła się luka. Powinniśmy zdać sobie sprawę z tego, jakich rozmiarów jest ta pustka.

Człowiek publiczny ma swoje imię, które ma dźwięk w kraju takiego lub innego napięcia, ma za sobą czyny, ma poglądy, które wypowiada. To imię jest znane wszystkim. Te czyny, te poglądy w większej lub mniejszej mierze znane są tym lub innym kołom społecznym. Pozatem wszystkiem atoli jest sam człowiek, jego oblicze duchowe, jego ustrój moralny. I tego człowieka, to jego oblicze duchowe, ten jego ustrój moralny ogół zna bardzo mało, może u nas mniej nawet niż w innych krajach, gdyż my interesujemy się raczej zewnętrzną stroną człowieka, niż jego głębią duchową, jego istotą. Prawda, że czasami ten człowiek jest tak mało ciekawy, że lepiej go nie pokazywać i lepiej pozostawić społeczeństwu jego życie złudzeniem, fikcją, legendą. Jednakże to nie jest dobrze. Społeczeństwo powinno znać swych ludzi publicznych, powinno wiedzieć, czego od nich może oczekiwać, jak zachowają się w takich lub innych, ważnych i trudnych chwilach. I dlatego nie jest dobrze, gdy społeczeństwo ludzi publicznych traktuje jako formułę samą, formułę dobrą czy złą: jeden jest wyrazem wszelkiej doskonałości, inny jest wyrazem wszelkich bezeceństw. A tymczasem oni mają dobre czy złe strony, mają punkty mocne i swoje punkty słabe. I im lepiej się społeczeństwo w tem wszystkiem orientuje, tembardziej orientuje się w swem życiu i w tem, co je czeka.

Tu będzie mowa niewątpliwie i o zasługach i o poglądach zmarłego. Chciałbym nadużyć cierpliwości Państwa i kilka słów poświęcić właśnie człowiekowi, pokazać człowieka, jego oblicze duchowe, jego konstytucję moralną.

Ks. Lutosławski! Niema chyba człowieka w kraju, któryby o nim nie wiedział. Któż nie był zmuszony o nim rozmawiać, o niego się kłócić. Iluż ludzi go kochało, ilu go nienawidziło, ilu tylko się gniewało na niego, a ilu było i takich, co się i gniewali na niego i kochali go. Ale wszyscy znali go bardzo zdaleka i bardzo mylnie często i fałszywie.

Nie liczę się z tem, co mówią o człowieku żyjącym, o człowieku publicznym, którego się zwalcza, bo co się mówi, tego się nie myśli. Mówi się dlatego, że to jest oręż w walce. Rzuca się takie lub inne oskarżenie, takie lub inne powiedzenie. Ale jeżeli o człowieku zmarłym się mówi, to ma się przekonanie, że to co się mówi, to się i myśli, bo niema celu zwalczania człowieka, który już odszedł.

Zdarzyło mi się w jednem piśmie poza innemi opiniami przeczytać opinię o ks. Lutosławskim, że był fanatykiem, opanowanym jedną ideą. I pomyślałem sobie, jak złymi psychologami jesteśmy, jak my ludzi publicznych nie rozumiemy. Wprawiłbym w kłopot autora tego artykułu, gdybym go zapytał, jaką ideą był opanowany. Jeżeli co można było zarzucać zmarłemu, to może to, iż zanadto się rozpraszał. Muszę powiedzieć, iż nie zdałem człowieka, a dobrze znałem ks. Kazimierza, bardziej dalekiego od fanatyzmu. Nie znałem człowieka, który byłby bardziej uległy argumentom, przekonywaniom, który gotów był zmienić swoje zdanie, jeżeli go przekonano. Jak można takiego człowieka nazwać fanatykiem! Nie nazwiemy fanatykiem człowieka, który jest głęboko religijnym, dobrym katolikiem, co na każdym każdym kroku strzeże, żeby nie było szczerby w jego kościele i religii. Nie nazwiemy fanatykiem człowieka, który się poczuwał względem obywateli, strzegł dobra narodowego. To jest fanatyk!?

Ja to przytaczam dlatego, jak my publicznych ludzi nie rozumiemy. I dlatego, gdyż chcę, ażeby po ks. Lutosławskim zostało nie tylko to imię, które nabrało rozgłosu, została nie tylko pamięć jego czynów, nie tylko jego poglądy, wypowiadane na te lub inne sprawy, ale żeby zostało wspomnienie człowieka, żywa jego istota duchowa. Dlatego chcę dziś parę słów o nim powiedzieć.

Kto go znał, ten dziś przed oczyma widzi tę szczupłą, chudą postać, z ogniem w oczach, poruszającą się szybko, ani chwili nie spędzającą bezczynnie, człowieka pożeranego potrzebą wydawanie swojej energii. I nieraz ci ludzie, którzy go znali, zapytywali się siebie: skąd w tem nikłem ciele taka szalona energia się bierze? To był jakiś niezwykły ustrój nerwowy, bo przecież

nie w tej konstytucji, nie w tych mięśniach ta siła siedziała, tylko w tym niezwykłym ustroju nerwowym. Kto obserwował jego życie, widział, jak zaczynało się od wczesnego rana i kończyło się późnym wieczorem, ciągle w bezustannej pracy, bez chwili odpoczynku. I jeżeli weźmiemy pracę na ilość, że to była praca kilku ludzi w jednym człowieku.

Zacznijmy od księdza.

Przecież nie myślcie Państwo, że dzień księdza, jeżeli tylko poważnie pojmuje swoje obowiązki, że to jest dzień mało pracowity. A ks. Kazimierz swoje obowiązki kapłana pojmował bardzo surowo. Każdy jego dzień zaczynał się wczesnem ranem od odprawienia Mszy. Kazał, urządzał rekolekcje, słuchał spowiedzi. To były te obowiązki czysto duchowne. Obok tego rozszerzał te swoje obowiązki jako ksiądz. Szedł nieść wpływ religijny przedewszystkiem między młodzież, którą gorąco kochał i którą zajmował się, spędzał z nią wiele czasu, nietylko przy nauce, ale i w życiu towarzyskiem, wycieczki z nią odbywał, po górach chodził.

Idę dalej. Mamy przed sobą posła. Myślę, że wśród posłów naszego Sejmu ks. Lutosławskiego trzeba zaliczyć do najczynniejszych. Ogół słyszał jego przemówienia, odezwania się w Sejmie, ciągle mówił o nim, ale nie widział tej pracy komisyjnej, tej pracy niesłychanie wytężonej, nie widział tego, że ten człowiek znał każde zdanie, każdą ustawę, która przez Sejm przechodziła. We wszystkiem starał się brać udział. Ile jego wniosków, ile jego poprawek przeszło, które stały się prawem. Jeżeli poseł tak pojmuje swe obowiązki, to jest to bardzo ciężka praca.

Dalej mamy mówcę, propagatora, publicystę. Na ilu wiecach go słyszano, jak często jego artykuły czytano.

To wszystko, wszystko robił jeden człowiek, a również nie trzeba zapominać, że miał jeszcze inne strony życia. Ten człowiek, poświęciwszy się stanowi duchownemu, jednak nie wyrwał się z rodziny. On żył bardzo silnem życiem rodzinnem, tej rodzinie bardzo dużo dawał, bardzo dużo poświęcał. Zajmował się dziećmi swych braci, rozstrzelanych przez bolszewików, pracował nad ich wychowaniem, był im jednocześnie ojcem i bratem. I obok tego, będąc uczestnikiem majątku rolniczo-przemysłowego, który został po jego ojcu, brał żywy udział w administracji, w interesach, wszystko dlatego, ażeby dzieciom po swych braciach zapewnić przyszłość.

Jeżeli państwo zsumują tę całą pracę, to zrozumieją, że słusznem jest to co powiedziałem, iż w tym jednym człowieku praca kilku ludzi siedziała, i to wielka praca. A przecież nie był to człowiek bez swoich potrzeb duchowych, nie był to człowiek, któryby nie miał żadnego życia wewnętrznego. On miał i swoje rozmyślania, i swoje umiłowania artystyczne, lubił i muzykę, lubił i jej słuchać, jeżeli znalazł chwilę czasu. Był człowiekiem wielkich zainteresowań, a to także czasu i pewnej energii wymaga.

Otóż tu widzimy człowieka w tem, jak on wydaje się nazewnątrz, tę energię, która się z niego wyładowuje. A chodzi teraz o motor tej energii,— co porusza tą energią, jakie czynniki? Przedewszystkiem trzeba stwierdzić — tu trzeba przypomnieć czasy, kiedy był młodzieńcem, studentem, jak go znałem,—że był to człowiek o ogromnie gorącem zainteresowaniu się sprawą polską, o gorącem przywiązaniu do ojczyzny, o potrzebie jej służenia na każdym kroku.

Później po przełomie, jaki w jego życiu nastąpił, kiedy się oddał religii i Kościołowi, kiedy został księdzem, głęboką w sobie pracę przeprowadził dla pogłębienia swych pojęć i swych uczuć religijnych. Może żadnej rzeczy tak znowu nie przemyślał, nie przerobił w sobie, jak samą religię. To było wprost w tym człowieku imponujące. Nigdy proszę Państwa nie uważałem za obowiązek kontrolowanie niczyjego stosunku do religii, nie uważałem, żebym miał do tego prawo, uważałem to za rzecz osobistą każdego człowieka, ale pozwólcie mi państwo wymagać od księdza katolickiego, ażeby był dobrym katolikiem. Muszę powiedzieć, że przed ks. Lutosławskim każdy człowiek religijny i każdy najbardziej niewierzący musi uchylić czoło przed siłą przekonania, przez głębią przywiązania.

Ta jego czynność, ta jego energia, która się wyładowywała najsilniej, wybuchała od rana do nocy, miała także swoje złe strony. Ta potrzeba żywości była źródłem jego głównych wad, z których bym wskazał dwie: za szybko często coś uznawał za fakt, za prędko wyrażał przekonanie o rzeczy, która wymagała głębokiej, dłuższej analizy. Ale to było nieuniknionym skutkiem tej właśnie szybkości, z jaką ten człowiek żył.

W naszem życiu codziennem, w którem pogoń za zyskiem materialnym stała się często wprost chorobliwą, ta postać, ten człowiek bezinteresowny, który niczego dla siebie nie chciał, o którym można powiedzieć, że ja to śmiało mówię, bo ja to wiem, ja to widziałem, że nie miał żadnego ja, był wyjątkiem. Wszystko co robił, wszystkie poświęcenia, jakie czynił, cała energia, którą wyładowywał, miały tylko trzy cele: dla rodziny, dla Ojczyzny i dla wiary. Nic dla siebie. W życiu naszem znowu, kiedy ludzie znoszą bardzo dużo złego i nie sprzeciwiają się temu złu, jakby w myśl zasady tołstojowskiej, kiedy człowiek powiada: niech się wszystko wali, bylebym miał spokój i nie narażał się, — człowiek, który walczył ze złem na każdym kroku, który nie szczędził swych sił, który się narażał na niebezpieczeństwa największe, który gotów był życie oddać za to, w co wierzył i do czego był przywiązany, jest postacią imponującą.

Tak oto mamy przed sobą (tu nie miejsce na traktat długi) w ogólnych zarysach postać człowieka, który stoi poza poglądami, czynami znanemi ogółowi, a który sam jest nieznany. Mnie chodziło o to, ażeby tego człowieka ogół poznał.

Jestem przekonany, że jeżeli czyny, zasługi ks. Lutosławskiego mają wielkie znaczenie w dzisiejszej chwili i dla przyszłości kraju, jeżeli poglądy jego na najrozmaitsze sprawy zasługują na to, ażeby były podzielane i szerzone po kraju, to ten człowiek czysty, święty na swój sposób, nie tą świętością, która w oczy kłuje i życie zatruwa, ale tą swobodną, uśmiechniętą, słodką, która do wszystkich odnosi się z przyjaźnią, ten człowiek, który nie umiał nienawidzieć, ten człowiek, który tylko złe czyny nienawidził, ale nie ludzi, — ta postać wyrasta ponad te czyny i poglądy i zasługuje przedewszystkiem na to, aby głowę przed nim pochylić.

ROMAN DMOWSKI

Z BIEGIEM LAT

(WSPOMNIENIA O ROMANIE DMOWSKIM)

III

PO ROZMAITYCH przygodach udało się nie jednemu z tych, co się znajdowali poza granicami kraju, powrócić do niego w samym przededniu wojny.

Dmowski, przetrzymany w Szczecinie, dobrnął szczęśliwie do Warszawy w początkach sierpnia. Opowiadając nam o swoich przejściach w drodze powrotnej, dworował sobie z gapiostwa Niemców, którzy tak grubej rybie pozwolili wymknąć się z sieci. Było to dobrą wróżbą na przyszłość!

Z wybuchem wojny, wicher nadziei, lecz i trwogi zarazem, przeszedł ponad głowami naszego ogółu, który, po krótkiem oszołomieniu pierwszych dni, wszedł w okres nowych zatargów wewnętrznych — starć orientacyjnych oraz swarów partyjnych. Wśród powszechnego zwichrzenia i chaosu, jeden być może Dmowski nie stracił głowy — wiedząc, z całą jasnością swej myśli, czego się trzymać i co ma robić. Od razu przystąpił do zbliżenia ku sobie i złączenia, dla wspólnej akcji w tak odpowiedzialnej chwili dziejowej tych, z którymi można było dojść do porozumienia. Wyraziło się to między innemi w utworzonym Komitecie Narodowym Polskim, w którym został powołany na przewodniczącego Komitetu Wykonawczego.

Na to, czego Polska, modląca się o Mickiewiczowską wojnę powszechną ludów, dożyła po po latach długiej niewoli — Dmowski był przygotowany oddawna, przepowiadał nieuniknione przyjście tej zawieruchy światowej; można rzec, iż był zachwycony tą chwilą, gdyż nie tylko stwierdziła słuszność jego przeczuć, lecz jakimś dreszczem nowego życia przejęła organizm znękanego narodu. Nie pokazywał po sobie, iż sam jest wstrząśnięty wypadkami, że jednak unosił go patos ducha o tem niech świadczy choćby to, że gdy spotykał przyjaciół powtarzał stale każdemu: „...Gdańsk, miasto niegdyś nasze, znowu będzie nasze..."

W kilka tygodni po rozpoczęciu działań wojennych przybył do Warszawy jeden z wybitniejszych działaczy rosyjskich, poseł do Dumy, Mikołaj Lwow, prawdziwy przyjaciel Polaków i Polski. Na urządzonem przez nas dla niego zebraniu panował niezwykle wesoły nastrój, wytwarzany głównie przez Dmowskiego; mogło to zdziwić naszego gościa, mniemać jednak można, iż Roman chciał mu pokazać, że jesteśmy dobrej myśli i krzepkiego ducha.

Wyszedłem z zebrania ze Lwowem. Żegnając się, życzył mi, żebyśmy po wojnie uzyskali całkowitą niepodległość, przytem dodał: „wierzę, że Dmowski pokieruje dobrze polityką polską". (M. Lwow, mówiąc mimochodem, w rozmowach kuluarowych w Dumie nieraz mi mówił, iż zazdrości Polsce dwóch ludzi: ks. Wawrzyniaka i Dmowskiego).

Pierwszy rok wielkiej wojny kończył się zupełną klęską wojsk rosyjskich na ziemiach Królestwa. W przewidywaniu niewątpliwego już zajęcia Warszawy przez Niemców, stojącemu na czele pro-koalicyjnej polityki polskiej, Dmowskiemu nie pozostawało nic innego jak szukać bezpieczniejszego miejsca dla swojej działalności i swojej osoby, gdyż drugi raz władze niemieckie nie popełniłyby napewno gaffy i nie wypuściłyby go z rąk swoich. W końcu czerwca 1915 roku opuścił więc Warszawę, udając się do Petersburga. W dzień wyjazdu poszedłem (mieszkał na Florze) by pożegnać się z nim i posłem W. Jarońskim.

Roman nadrabiał miną, znać jednak było, iż myśl jego zaprzątnięta jest całkowicie tą przyszłością, niepewną i groźną, jaka otwierała się przed nim, nie pierwszy raz w życiu co prawda, teraz jednak w okolicznościach niezwykłych, w których na szali wojny ważyły się losy Polski. Od czasu do czasu odrywał się od myśli dominującej i zwracał się ku drobiazgom bieżącym, prosił o zaopiekowanie się jego skromnym dobytkiem kawalerskim, książkami etc. — „bo ja tu kiedyś powrócę przecie" — dorzucił jakby wyzwanie niepewnym losom. Pożegnaliśmy się znowu nie wiedzieć na jak długo!

Z chwilą wejścia Niemców do Warszawy, (5-go sierpnia 1925 r.) porozumiewać się z naszemi uchodźcami nie było łatwo, jednakże coś niecoś dochodziło nas od nich różnemi drogami. Nie zawsze z dobrego źródła pochodziły te wieści, częściej bowiem od tych, co reprezentowali sfery t. zw. „aktywistyczne" i wskutek tego starali się dyskredytować w kraju działalność Dmowskiego. Pewnego razu np., w początkach 1916 roku, informował nas na zebraniu u mecenasa K. Kozłowskiego, jeden z dość już licznych podówczas, „polityków" przygodnych, który widział się z Dmowskim w Rzymie. Nagadał nam o nim niestworzonych rzeczy, jak to on przechodzi ciężką depresję ducha, nie widzi już nic przed sobą, a stojąc na Monte Pincio rozważał czy nie lepiejbyłoby rzucić się stąd w dół głową, tylko mu na to nie pozwolił nasz informator...

Nie mądre to wszystko było, ale w „Warszawce" mogło mieć powodzenie. A było to właśnie w czasie, w którym Dmowski konferował w najlepsze z wpływowemi osobistościami, no i w rozmowie z kardynałem Gasparrim dowiedział się od niego, że niepodległość Polski jest mrzonką, co wszakże nie zbiło go z tropu, i nie zniechęciło do pracy dla niej. Znów innym razem ostrzegał, zebranych w mieszkaniu ś. p. Henryka Radziszewskiego, przed zgubną polityką Dmowskiego, pewien obleśny pan świeżo przybyły z Łozanny, o którym później dowiedzieliśmy się od Romana, że gdy z owym jegomościem chciał dojść do porozumienia, żeby Polacy rozmaitych kierunków, przebywający w Szwajcarii, godziwie zachowywali się względem siebie, to ten mu nader patriotycznie strzyknął w oczy: „ja panu nie wierzę!" W taki i tym podobny sposób nastrajano opinię przeciwko Dmowskiemu i mącono ludziom w głowie.

Ale myśmy wierzyli Dmowskiemu, a zżyci z jego polityką oddawna, ufni w moc jego charakteru, wiedzieliśmy jak mamy sobie tłumaczyć jego działalność na terenie zagranicznym, będąc przekonani, iż nic go nie skusi, nic nie zwiedzie z drogi, którą obrał jako jedynie wiodącą do celu. Stąd też nie dawaliśmy wiary plotkom i oszczerstwom, i sami nie schodziliśmy z wskazanej przez niego drogi. Z czasem jednak dochodziły i do

nas pewniejsze wiadomości o tem, co robi Dmowski, i jak się rozwija sprawa Polski wśród państw Entente'y, a to dzięki ofiarnej służbie narodowej paru osób z poznańskiego (ś. p. Zofia Sokolnicka, Władysław Grabski z Kurcewa), którym udawały się wycieczki do Szwajcarii.

Tak przeżyliśmy ciężkie lata wojny i okupacji kraju, lata, na przemian, udręczeń i nadziei, i — niedając się zbić ze słusznej drogi przez rozmaitych kusicieli — doczekaliśmy chwili, nie mającej sobie równej w życiu Polaka, chwili wyzwolenia.

Już z końcem 1918 roku zaczęły napływać bezpośrednie wiadomości z Paryża, od osób z niego przybywających, jak i przez listy odbierane od przyjaciół.

W pierwszym liście otrzymanym od Romana z Paryża w początkach 1919 roku, wypytywał mnie o parę osób z kraju, które zaczęły się uwijać dokoła prezesa Komitetu Narodowego. Wśród nich byli różni: jednym chodziło o zaszczyty, innym o interesy — wszyscy ofiarowywali swoje usługi.

Przyszedł moment, w którym Polska mogła już komuś coś dawać, amatorów nie brakło. O jednym z takich opowiadał nam Dmowski, że nieraz przybierał wobec niego wyniosłą postawę, gdy jednak stanął przed prezesem K. N., to już od progu, bijąc się w piersi, czołobitnie przemówił: „jestem do dyspozycji pana prezesa"... Tego rodzaju objawy marności ludzkiej, sytuacyjnie bardzo komiczne, zawsze więcej śmieszyły, niż gniewały Romana. Ale jakże bogate z takich faktów czerpał doświadczenie o ludziach!

Nie tylko jednak zabiegano o względy triumfatora, zwracały się także ku niemu wdzięczne serca rodaków z myślą dziękczynną za to, co robił dla Polski i dla niej, po trudach i walkach, osiągnął. Powstał np. w Poznaniu zamiar złożenia mu daru od narodu; zaczęto już nawet w tym celu składać ofiary w banku Spółek Zarobkowych. Gdy o tem Dmowski się dowiedział, zaraz napisał do mnie list, w którym prosił o natychmiastowe przecięcie powyższej akcji. (Fundusz zebrany zredukował się do zera, wskutek gwałtownego spadku ówczesnej waluty). Powróciwszy do Warszawy na wiosnę 1920 roku, spotkał się Dmowski z indywidualnemi dowodami podobnego uznania i wdzięczności.

Między innemi ktoś z jego wielbicieli złożył mu bardzo znaczną sumę. Nie oburzył się, zrozumiał szlachetne, chociaż niezbyt subtelne, intencje ofiarodawcy, nie zwlekając jednak poprosił mnie o odniesienie mu otrzymanej, ogromnej paczki banknotów. Misja nie była przyjemna i z tego względu, iż nie mogłem wytłumaczyć dotkniętemu odmową, że Dmowski nie może otrzymywać od nikogo darów za to, co zrobił dla Polski.

Był on wogóle tak drażliwym na tego rodzaju punktach, że ani sobie, ani najbliższym współpracownikom z K. N., nie pozwalał na korzystanie jakiejkolwiekbądź natury z zajmowanego stanowiska. Drażliwość swoją w tej mierze posuwał do tego stopnia, że gdy rząd Rzplitej Francuskiej zwrócił się do niego z zapytaniem: kogo wśród członków K. N. poleca on do odznaczenia Legią Honorową? — polecił tylko pp. Piltza i Wielowiejskiego, jako nie należących do stronnictwa D. N., wszystkich natomiast najbliższych sobie — oczywiście i siebie samego — pominął. Nie chciał, żeby mówiono, iż oni, nawet w takiej postaci, coś dostali za swoją działalność.

Wyczerpująca kilkoletnia praca zagranicą skończyła się dla niego, jak wiadomo, najfatalniej, rozchorował się bowiem w Paryżu na ciężkie zapalenie płuc.

Wyszedł z niego, po kilku tygodniach zmagania się z niemocą, dzięki troskliwej opiece ordynatowej i ordynata Zamoyskich, i mógł wyjechać do Algieru dla zupełnej poprawy zdrowia. Gdy powrócił (w maju 1920 r.) do Warszawy, powstała wśród przyjaciół myśl urządzenia na jego cześć powitalnego zebrania. Nie bardzo poszło mu to w smak, gdyż miał poważniejsze sprawy na względzie (widzenie się z Naczelnikiem Państwa etc...), a przytem i atmosfera ogólna niezbyt była sprzyjająca, rozpoczynał się już bowiem odwrót z pod Kijowa — zaproszenie jednak przyjął. Zebraliśmy się w parę dni po tem w Resursie Obywatelskiej, udział różnych sfer miejskich był znaczny, z przewagą wszakże jego zwolenników, ktoś z nich zaczął go witać dość zdawkową retoryką, słuchał obojętnie, wreszcie zniecierpliwił się, prawie przerwał mówcy i odpowiedział w paru zaledwie zdaniach, mniej więcej w tym sensie, że teraz trzeba mniej frazesów a więcej pracy na rzecz tego, cośmy odzyskali po stuletniej z górą niewoli.

Wogóle Dmowski nie znosił uroczystości, zwłaszcza w stylu *„pompier"* — jak powiadają Francuzi, t. j. w stylu straży pożarnej — z oklaskami i namaszczonemi ale banalnemi popisami krasomówczości, zwróconemi do jego osoby. Lubił natomiast poufniejsze zebrania, w gronie starych przyjaciół i znajomych, także za stołem biesiadnym — i wówczas dawał swobodny upust swoim nadzwyczajnym przymiotom towarzyskim. Chętnie opowiadał o tem, czego był świadkiem, co robił i kogo poznał, podczas swoich wędrówek po całym świecie. Poza polityką i związaną z nią własną działalnością, bardzo lubił rozmowy na tematy, któremi zawsze żywo się interesował — z dziedziny literatury, historii, cywilizacji starożytnej i t. p. Nie gardził również swawolniejszemi opowieściami, okraszając je niezrównanym dowcipem. (W tej mierze partnerami Romana bywali często — Mieczysław Frenkiel i prof. Ignacy Chrzanowski).

Szło mu to wszystko bez wysiłku, sypało się jak z bernardyńskiego rękawa. Zdumiewał niejednego swoją swadą oraz różnostronnością wiadomości.

Jędrną i barwną prozę swoją przeplatał nierzadko zaimprowizowanym nagle rymem. Na jednej z naszych z nim biesiad znalazł się kiedyś poeta Or-Ot. Dmowski z J. Weyssenhoffem rywalizowali w przytaczaniu w oryginale Horacego, aż tu Or-Ot wyrwał się z jakimś własnym popisowym „kawałkiem" — i wnet posłyszał od Romana:

„A ten rycerz taki hardy
Do słoika wlazł musztardy"...

(Ojciec poety miał znaną fabrykę tego produktu), co zaraz, po ogólnym wybuchu śmiechu, skierowało rozmowę na mniej akademickie tory.

Nie uważał siebie za znawcę w sprawach sztuki, ale tyle zwiedził jej przybytków, i tak umiał cie-

kawie opowiadać o tem, co w nich rzuciło mu się w oczy, że i tu znawców z urzędu mógł zadziwić. Pamiętam pewnego razu, po jednej ze swoich wycieczek do Włoch, mówił nam o wrażeniach, doznanych przed słynnym obrazem Tycjana „*Amor sacro e profano*" (Kasyno Willi Borghese w Rzymie). Był to prawdziwy wykład fachowca, a wytłumaczenie trudnej symboliki dzieła Tycjanowskiego nadzwyczaj trafne i w dodatku własne, gdyż napewno nie czytał żadnego arcydzieła mówiącego o niem.

Z racji tedy ogromnych zasobów jego wiedzy, świetności myśli i dobrego humoru, na zebraniach towarzyskich z Romanem nuda nigdy nie ogarniała uczestników.

W jakiś czas po powrocie do kraju, gdy minęła nawałnica bolszewicka, i wszystko zaczęło powracać do normalniejszego życia, Dmowski zamieszkał naprzód w Poznaniu, a w 1923 roku już był na swojem gospodarstwie w nabytym Chludowie. Od czasu do czasu, w mniejszem lub większem gronie, odwiedzaliśmy go tam, doznając zawsze miłej gościnności. Po jego promocji doktorskiej, na którą zjechał do Poznania, kto tylko mógł ze starych przyjaciół, z Kasprowiczem, Z. Wasilewskim i paroma poznańczykami wybraliśmy się nazajutrz do Chludowa..

Tam, wśród wesołej rozmowy, zaczęliśmy potrącać o niektóre mniej znane fakty jego udziału w konferencji pokojowej, i dowodziliśmy, że te rzeczy wymagają oświetlenia z jego strony. Roman tłumaczył nam dlaczego dotychczas tego nie zrobił, że przyjdzie na to czas, że jeszcze nie czuje się na siłach do rozpoczęcia tego rodzaju pracy, etc...

Innym razem, na zebraniu Rady Naczelnej Stronnictwa, które miało miejsce w Poznaniu, wyrażając się z uznaniem o książce prof. St. Grabskiego „Rewolucja", nazwał pracę autora spełnieniem obowiązku wobec swoich współczesnych, przytem dodał, iż on swego jeszcze nie spełnił wobec nich, gdyż dotychczas z rozmaitych powodów, nie dał wyjaśnienia dróg, jakiemi dążył w swej polityce, zrobi jednak to, co w tej mierze należy się od niego ogółowi polskiemu. Istotnie, w jakiś czas potem — już w 1924 roku — pobudzony do przerwania dłuższego milczenia między innemi także napaściami wrogiej prasy, w której mówiono o Dmowskim jako o pozycji przekreślonej, bez znaczenia, zaczęły się naprzód ukazywać w „Gazecie Warszawskiej" jego artykuły o polityce zagranicznej Polski odrodzonej, a następnie tamże, o „Polityce Polski i odbudowaniu państwa", z czego złożyło się wspaniałe dzieło, w którem dał dokładny obraz tego czem była, do czego dążyła, i w jakich warunkach się odbywała jego polityka w okresie przedwojennym i w czasie wojny. Gdy w 1925 roku książka wyszła z druku, wspominając serdecznie starych przyjaciół wszystkim ją ofiarował, wyliczając każdemu z nas w dedykacji lata współpracy z nim. Książkę zaczęto rozchwytywać, była mowa o drugiem wydaniu, wówczas zaprosił się na biesiadę w szerszem kole kolegów, a podczas niej oświadczył nam bez fałszywej skromności, iż wie, że książka jest dobra i może sprawi niemiłą niespodziankę tym wszystkim, co go tak skwapliwie żywcem grzebali...

Niewątpliwie w gorliwości swojej zanadto się pośpieszyli, gdyż ta pierwsza książka, jaką spełniał swój obowiązek względem Polaków, do czego zawsze się poczuwał, była punktem wyjścia dla dalszej jego pracy publicystycznej, której wynikiem były inne świetne dzieła: „Świat powojenny a Polska" i „Przewrót", dotyczące palących zagadnień doby powojennej.

Jak wysiłek Dmowskiego, w czasie wojny światowej oraz konferencji pokojowej, wzniósł się na szczyty jego mocy duchowej, tak też pisma z okresu od 1924 — 1933 roku — osiągają punkt kulminacyjny jego myślenia politycznego, pełni ujęcia przedmiotu i majestatycznej prostoty wyrazu. Dodać tu trzeba, że w powyższym przeciągu czasu napisał Dmowski także dwie powieści: „W połowie drogi" i „Dziedzictwo", urzeczywistniając zamiar powzięty w młodości często bowiem mówił nam wówczas, iż pragnieniem jego jest napisać powieść społeczną.

Po dłuższym wysiłku umysłowym organizm Dmowskiego doznawał zawsze pewnego wyczerpania, na jakie reagował albo zmieniając przedmiot swoich zaprzątnięć intelektualnych, albo, jak środki mu pozwalały, wyjeżdżając dla wypoczynku zagranicę. Tym razem wybrał Włochy, i w początkach wiosny 1926 roku wyjechał z dr. W. Łapińskim do Rzymu. Nieznał jeszcze Italii faszystowskiej, chciał się jej przyjrzeć i zobaczyć dawnych znajomych, z których niejeden odgrywał w jej nowem życiu wybitną rolę. W Rzymie miał sposobność widzieć się i rozmawiać z niektóremi przedstawicielami nowej Italii, jak np. senator Corradini, twórca nacjonalizmu przedfaszystowskiego, dawny znajomy Dmowskiego z czasów wojny, i z innemi. W rozmowach z niemi wyłożył swój pogląd na faszyzm oraz jego obowiązki względem cywilizacji łacińskiej, w której obronie powinien dążyć do współpracy z Francją. Gdy w kilka dni potem przyjechałem do Rzymu, z ust moich znajomych Włochów usłyszałem nie mało zachwytów nad tem, co Dmowski wówczas mówił oraz ile myśli głębokich wypowiedział.

Z Włoch i Paryża powrócił do kraju w kilka dni po przewrocie majowym...

W końcu 1926 roku powziął Dmowski zamiar dokonania doniosłych zmian w naszych stosunkach organizacyjnych oraz metodach działania politycznego i pracy wśród szerszego ogółu.

Wyraziło się to, jak wiadomo, przekształceniem Związku Ludowo-Narodowego w Stronnictwo Narodowe, a także powstaniem Obozu Wielkiej Polski.

W tym czasie zaprosił do siebie kilku starszych towarzyszy pracy (oprócz mnie: J. Bartoszewicza, Zygmunta Wasilewskiego, J. Gościckiego i B. Wasiutyńskiego), zwierzył się nam ze swoich przewidywań dalszego rozwoju stosunków w Polsce (miał tu między innemi na względzie wzrost komunizmu w kraju i t. p.), i mówił na jakich podstawach, wobec zmienionego rytmu życia w państwie, należy oprzeć naszą działalność.

Przedstawił to wszystko z rzadkiem u niego widocznem wzruszeniem, w końcu uściskał nas serdecznie, jakby na znak odnowy tego braterskiego przymierza, jakie zawarliśmy z nim w młodości...

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

NA WIDOWNI

Przemiany społeczne i historia literatury. — Drogi i bezdroża kultury ludowej. — Prof. Pigoń jako diagnosta społeczny. — Orkan i Reymont. — Dwie epoki — dwa eposy. — Lud szlachecki w „Panu Tadeuszu" i lud chłopski w „Chłopach". — Zagadnienia polaryzacji ducha polskiego.

PROCES jednoczenia się narodu dokonywa się w sposób nie dla wszystkich dostrzegalny, ale stały. Nie zdoła powstrzymać go nawet tak potężna, bo korzystająca z aparatu państwowego, organizacja... Ozonu. Jak się ten proces odbywa, to tajemnica przemian społecznych, znajdujących swój wyraz w życiu umysłowem społeczeństwa, a więc w literaturze. To też o dojrzewaniu narodu, o postępach jakie robi na drodze ku zjednoczeniu duchowemu więcej bodaj ma do powiedzenia myślący pisarz, niż ludzie odkomenderowani do mechanicznego wytwarzania „jednoczenia".

Do takich badacza ducha narodowego należy znakomity historyk literatury, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego, Stanisław Pigoń.

Oto teraz wydał on bardzo interesującą książkę, złożoną ze studiów i szkiców, dokonanych w latach ostatnich, — p. t. „Drogi i bezdroża kultury ludowej" (Lwów 1939. Wyd. „Wieś". Str. 328). Znajdziemy w niej odpowiedź na kapitalne pytania, które nam obecne czasy zadają, czy przybywa co narodowi z łona ludu, i jakiej wartości jest to przybytek.

— — — — — — — — — — — —

Twórczość naukowa Pigonia odpowiada wszystkim wymaganiom uczonego kunsztu, jest to jednak nie scholastyka, ale — powiedziałbym — *ars addita homini;* sztuka, szczepiona na człowieku żywym, drzewo, wydające obfity i soczysty owoc dzięki szczęśliwemu połączeniu, jakim kultura związała uczoność z żywotnemi sokami człowieka, wrośniętego w ziemię.

Stosunek tego uczonego do literatury nie ma w sobie nic kabały, ani tendencji odcinania literatury od życia w celu uczynienia z niej odrębnego świata. *Homo sum...* — przemawia do nas z każdej karty jego dzieła.

Ta zasadnicza cecha jego postawy nie tylko w treści pism znajduje swój wyraz; jest ona również właściwością jego stylu. Ani na chwilę literatura nie jest dla niego zabawą, traktuje ją zawsze serio, jak przystało na czciciela pierwiastków wiekuistych życia — z powagą, która pamięta czasy, kiedy pieśń była funkcją instytucji kapłaństwa. Dla Pigonia literatura jest przędzą ducha narodowego. Przez nią wzierać można w ustrój psychiczny społeczności narodowej i odwrotnie znać trzeba dobrze życie tego społeczeństwa, aby rozumieć literaturę. Pigoń jest nie tylko krytykiem, estetą i filologiem; jest także socjologiem i historykiem.

Ponieważ wiele ma do powiedzenia o sprawach rzeczowo zbadanych, więc i styl jego daleki jest od impresjonizmu, kwiecistości i metaforyczności; przypomina raczej czystością wyrobu i szlachetnością materiału tkaninę lnianą. Proza jego ma w sobie urok naturalności. Jak płótno wiejskie, w słońcu wybielone, zaklęty ma w sobie błękit, którym len kwitnął na zagonie, a w dotknięciu, miąższością swoją, pełną chłodu, przypomina świeżość powietrza, pachnącego rosą i ziemią, — tak samo przędza myśli pochodzącego ze wsi pisarza, choćby najuczeńszego, ale wiernego swojej naturze, nosi na sobie znamię pełnego prostoty i powagi piękna naturalnego. Tkanina prozy Pigonia odznacza się tem, że przewija się w niej co chwila, niby nitka złota, myśl ujęta w słowa zabłąkane z literatury wielkiej, najczęściej z umiłowanego szczególnie Mickiewicza.

— — — — — — — — — — — —

Styl to człowiek. Pigoń jest przedstawicielem umysłowości polskiej, przez dopływ ludu odnowionej. Zrodziła go Polska nowa, już nie ta, która tlała w XIX wieku tradycjami kultury szlacheckiej, od czasu do czasu wybuchając świetnymi talentami w dziedzinie sztuki, lecz Polski poszerzonej i pogłębionej do pokładów, gdzie dotąd drzemały instynkty narodowe. Lud wiejski do swej roli cywilizacyjnej gotował się już od lat kilkudziesięciu. Był to ruch narazie niedostrzegalny. Ludność włościańska odrastała powoli od ziemi i wyprostowywała się do ludzkiego pionu pod działaniem zmienionych warunków ekonomicznych; w Galicji pod zaborem austriackim dojrzewała najwcześniej do uświadomień klasowych; ale dopiero w czasach obecnych niepodległości państwowej kultura ludowa już na wszystkich ziemiach dała się poczuć i poznać ze swych dążeń nacjonalistycznych.

Jest to początek nowej epoki w życiu Polski. Kto ten fakt zrozumie, ten z radością stwierdzi: przybywa Polski. Przybywa jej bogaciej niż terytorialnie, bo wgłąb. Jak przed stu laty ruch umysłowy, zwany romantycznym, doszukując się źródeł ducha narodowego, dał początek nowej epoce, w której zarysowała się wyraźnie w sferze oświeconej jaźń narodu, odnowiona uczuciowo i rozszerzona na miasta — tak teraz odzywają się nowi Brodzińscy, Mochnaccy, Grabowscy, Goszczyńscy, którzy zwiastują nowy rozrost podmiotu dziejów naszych, mianowicie coraz silniejszy dopływ sił ludowych do armii czynnej na polu kultury polskiej.

Jednym z najbardziej przejętych tem zjawiskiem heroldów nowej epoki jest prof. Stanisław Pigoń.

Wszystko, o czem pisze w obecnej książce prof. Pigoń, zwrócone jest „frontem do ludu", czy to w rozdziale pierwszym, gdzie autor jako wychowawca (rektor Uniwersytetu) przemawia do młodzieży o jej powołaniu, czy pisze o Sienkiewiczowskim problemie narodu-monolitu, czy wchodząc w sedno zagadnień studiuje życie i twórczość Orkana, czy wpatruje się w Witosa, czy też w bezpośrednich obserwacjach życia wsi, — wszędzie myśl autora dociera do ludowych pokładów, aby zbadać stan dojrzewania umysłowości ludu.

Czy doszukuje się tylko talentów literackich? Nie — sięga głębiej, w dziedzinę obywatelskiej kultury chłopa, czy dojrzał już do roli dziejotwórczej. Za podstawę tego badania służy mu twórczość literacka pisarzy pochodzenia ludowego. I to jest największa przysługa, jaką historyk literatury z fachu oddać może uświadamianiu się myśli narodowej. Gdzież szukać lepszego wskaźnika myśli, jak nie w literaturze?

Najbogatszego plonu obserwacyjnego dostarczył badaczowi miły jego sercu Orkan (Smreczyński). Znaczną część książki poświęcił temu pisarzowi. Jest to wzorowe i bardzo ważkie dla historii zarówno literatury, jak i kultury studium. Podziwiać trzeba, ile ważnych spostrzeżeń i wniosków historycznych można było dokonać na pisarzu, pozostawianym zwykle na uboczu.

Na krótkim dystansie pracy twórczej Orkana, Pigoń potrafił wyśledzić i pokazać, jak na zegarze, jakim przemianom uległo życie społeczne w Polsce, biegnące w coraz szybszem tempie. Nie podziela chłopomańskich uroszczeń Orkana w sprawie wyłączności kultury chłopskiej i wyższości jej ponad dziedziczoną po epoce szlacheckiej. Starczy mu odradzanie się energii psychicznej w narodzie przez świeże dopływy.

Dowodem choćby to specjalne studium, poświęcone matce Orkana, którego niepodobna czytać bez wzruszenia. Wzrusza w tym wizerunku, że uprzytomnia nam, jak piękna i bogata jest polska rasa duchowa. Cóż może być mniej obiecującego, jak dziewczyna, wychowana w głuszy górskiej, w najcięższych warunkach nędzy, wbrew woli zamąż wydana. Czy można obiecywać sobie, że urodzi syna, który zasłynie w literaturze i więcej jeszcze, że ona będzie jego inspiracją i że pierwsze jego utwory poetyckie swoją ręką będzie poprawiać?

Jest coś tajemniczego, nie dającego się racjonalnie wytłumaczyć, w sile żywotnej ducha narodowego. Widzimy tutaj, że Smreczyńska nie czuła innych cierpień, jeno ból niedosytu duchowego i potrafiła w pustce wyszukać dla myśli swojej pożywkę. Przedziwna jest historia z księdzem Blaszyńskim.

Gdybyż to jedyny wypadek, ale przypomnę, że w ostatnich latach dowiedzieliśmy się z życiorysów, że matkę swoją błogosławił za dary duchowe Jan Kasprowicz; również prostą, biedną wyrobnicę. To samo przecież było z Romanem Dmowskim. Wszystkie te trzy proste kobiety: Smreczyńska, Kasprowiczowa, Dmowska weszły do panteonu wielkich „Matek Polek".

— — — — — — — — — — — — —

Bardzo piękny jest w tej książce szkic o Reymoncie. Według Pigonia jego „Chłopi" są epopeą, takie samo znaczenie mającą w literaturze, jak sto lat temu „Pan Tadeusz". Bo „to samo, co się stało na przełomie wieku XVIII i XIX z odrębnym w pięknie i charakterze ludem szlacheckim, to obecnie w naszych oczach spełnia się z ludem chłopskim"... „Synowie nasi patrzeć będą na świat Bojki czy Nakoniecznego, na świat Lipiec jak rówieśni Rzewuskiego patrzyli na świat księcia Karola Panie Kochanku, a rówieśni Mickiewicza na świat Soplicowa" (str. 139). Zdaniem Pigonia dopiero przyszłość oszacuje należycie „Chłopów" Reymonta, kiedy dzisiejszy stan wsi polskiej stanie się już legendą.

Jak widzimy, Pigoń dokonywa w historii literatury robót pionierskich, aby przygotować w niej miejsce dla nowej epoki.

Bardzo ciekawe jest spostrzeżenie Pigonia, że w duchowości polskiej, jeśli się zestawi typy wielkich pisarzy, widoczne się staje zjawisko polaryzacji według modły Słowackiego, który w „Królu Duchu" wyznaczył dwa bieguny Ducha królewskości: jeden w postaci Popiela, drugi w Zorianie. Oba te wcielenia składają się na pełnię twórczości królewskiej.

Tak samo w literaturze polskiej mamy Słowackiego i Mickiewicza, Żeromskiego i Reymonta. Pierwszy typ działa w śmiałych rzutach ideowości, burzycielski jest, spragniony nowości, drugi — przeżywający raczej przeszłość, delektujący się dawnością przeżyć. Pierwszy — duch „wieczny rewolucjonista", drugi — duch budownictwa.

Spostrzeżenie trafne, stwierdzić je można na każdym niemal kroku. Przestrzec jednak trzeba przed braniem tych krańców za zasadę genialności. Przyjrzawszy się bowiem bliżej Mickiewiczowi, spostrzeżemy, że on oba te bieguny miał w sobie samym. Wiemy, że w stosunku do Krasińskiego np. on właśnie był czerwonym Popielem. W nim było wszystko, co bywa siłą twórczą u ludzi; on był tych biegunów syntezą. I to jest cechą wielkości — owa pełnia o dwu biegunach z własnym równikiem.

Owa biegunowość tłumaczy się psychologicznie tem, że każdy człowiek oscyluje między swoją i rodu swego dawnością a przyszłością. Do przeszłości tęskni i czuje rozkosz w delektowaniu się nią, a przyszłość garnie w siebie, o ile stać go na energię psychiczną. Każdy ma przeszłość i przyszłość w sobie i, jak Mickiewiaz, jednem skrzydłem o przeszłość, drugiem o przyszłość uderza.

Źle jest w literaturze, gdy twórcy jednem skrzydłem powłóczą, źle było z królewskością, że za bardzo się polaryzowała.

ZYGMUNT WASILEWSKI

FATALNY BŁĄD

BARDZO wielu Polaków łudzi się, że popierając roszczenia żydowskie w stosunku do Palestyny, przyczynimy się do rozwiązania — w drodze ewolucji — zagadnienia żydowskiego w Polsce.

Otóż, trzeba wreszcie wyraźnie powiedzieć, że kto tak stawia sprawę, ten albo nie orientuje się wogóle w zagadnieniu żydowskiem, albo wykazuje zbyt małą odporność na sugestie propagandy żydowskiej.

Polityce żydowskiej potrzebna jest niewątpliwie Palestyna pod władzą narodową żydowską, potrzebne jest posiadanie Jerozolimy jako przyszłej stolicy rządu żydowsko-palestyńskiego i dawnej stolicy Judy i Izraela, lecz nie po to, by tu zjechali i osiedli na zawsze żydzi z całego świata, lecz by stąd promieniowała na kraje „rozproszenia" suwerenna, udzielna i zwierzchnicza władza żydowska.

Żydzi lepiej niż jakikolwiek inny naród rozumieją, co stanowi istotę państwa (władza suwerenna, sama w sobie) i nie dlatego pragną ustanowić swą władzę w Jerozolimie, by móc ująć życie narodowe w ramy własnego państwa, lecz dlatego budują w Jerozolimie swe państwo, by istniała na świecie jawna, uznana przez inne narody władza żydowska.

Jeżeli chodzi o masy żydowskie to dla nich sprawa państwa żydowsko-palestyńskiego jest raczej obojętna. Nie przeciwstawiają się one sjonizmowi i nie zwalczają jego polityki na szero-

kiej arenie światowej, ale też nie pozwalają wodzom sjonistycznym zanadto wysuwać się na czoło na węższych odcinkach polityk „krajowych". Tutaj pierwszy głos należy z reguły do „konserwatywnych" ortodoksów, „markujących" od czasu do czasu ugodowy stosunek wobec narodu - gospodarza, o ile ogólne położenie nie jest tego rodzaju, że — w mniemaniu żydostwa — może ono pozwolić sobie w odniesieniu do tego lub innego kraju diaspory na postawę nieprzejednaną i radykalną. W tych wypadkach ortodoksi usuwają się w cień, a na plan pierwszy występują jako rzecznicy mas żydowskich — ludowcy (fołkiści) i socjaliści (Bund, komuniści i in.).

Należy pamiętać raz na zawsze o tem, że zarówno prawica ortodoksyjna jak ludowa i socjalistyczna lewica żydowska stoją wyraźnie i stanowczo na stanowisku praw żydowskich w diasporze i utrzymania diaspory niezależnie od urzeczywistnienia żydowskich ideałów narodowych w Palestynie.

Powszechna emigracja do Palestyny nie leży dziś w zamiarach mas żydowskich, ani w planach ich przywódców. Proszę spojrzeć, jaką odporność wykazują i ci i tamte w Niemczech narodowo-socjalistycznych, jeżeli chodzi o przymus emigrowania. Pomimo wszelkie prześladowania, żydzi starają się w Niemczech pozostać, wytrwać na pozycjach, które zdobyli w ciągu szeregu stuleci, przetrwać złe czasy.

Utrzymanie diaspory — obok państwowości żydowskiej w Palestynie — jest zatem kanonem polityki żydowskiej. „Rozproszenie żydów uczyniło z nich naród kosmopolityczny. Są oni jedynym ludem rzeczywiście kosmopolitycznym i w tym charakterze muszą oddziaływać i oddziaływują jako czynnik rozkładu w stosunku do wielkich różnic rasowych i narodowościowych. Wielkim ideałem Judaizmu nie jest bynajmniej to, by żydzi zgromadzili się kiedyś w jakimś zakątku ziemi w imię separatyzmu, lecz to, by cały świat przeniknęła nauka żydowska i by w powszechnem braterstwie narodów zniknęły wszelkie odrębne rasy i religie. Jako lud kosmopolityczny, żydzi wyszli już z tego stadium rozwoju społecznego, które wyraża się jako forma narodowego separatyzmu. Nigdy już nie będą mogli wrócić do tej formy rozwojowej. Świat cały stał się ich ojczyzną („home") i obecnie wyciągają oni swe dłonie ku innym narodom ziemi, wzywając je by poszły za ich przykładem" („*The Jewish World*" 1883. Londyn).

Po deklaracji Balfoura z 1917 r., po traktatach 1919 r., które wprowadziły w życie obietnice Balfoura, ustanawiając mandat brytyjski w Palestynie, przeznaczony na to, by stać się zawiązkiem narodowej siedziby żydowskiej — bez uszczuplenia praw żydów w innych krajach, po obwarowaniu wreszcie tych praw w państwach Europy środkowo - wschodniej gwarancjami traktatów t. zw. mniejszościowych — kierunek celowości wewnętrznej w polityce żydowskiej nie może już chyba wywoływać wątpliwości. Jest to kierunek „dwukierunkowy", jak „dwutorową" jest polityka światowego żydostwa, nie rezygnująca z praw i przywilejów rozproszenia i jednocześnie domagająca się praw-przywilejów, a nadewszystko władzy w Ziemi Świętej.

Ze stanowiska narodów rdzennych, Palestyna żydowska w najmniejszym stopniu nie rozwiązuje sprawy żydowskiej. Raczej odwrotnie: zaciemnia ją i zaostrza. Jest nowym przywilejem dla żydów, danym im darmo, mającym zaś służyć żydostwu do prawno-międzynarodowego zabezpieczenia i politycznego umożliwienia praw diaspory.

„Jerozolima będzie nowem papiestwem(!) Jerozolima stanie się podobna do pracowitego pająka przędącego sieć, której nici elektryczne i złote błyszczeć będą nad całym światem. Środek tej sieci złotej, z którego rozchodzić się będą wszystkie te nici — to będzie Jerozolima". (Z poematu Louis Levy'ego, recytowanego 8.XII 1935 na zebraniu Tow. Keren Hajesod w Kopenhadze, wg. „*Berlingske Tidente*" z 9.XII.35).

Popełnilibyśmy fatalny błąd, rzucając wpływy i wagę polityki polskiej na szalę imperialistycznych planów palestyńskich światowego żydostwa.

Wszelki nacisk ze strony polskiej w duchu roszczeń żydowskich na otwartą w Londynie żydowsko-brytyjsko-arabską konferencję „okrągłego stołu" — byłby gestem nieopatrznym, z punktu widzenia interesów polskich — nieuzasadnionym, zbędnym, a nawet szkodliwym.

Nie należy dać się szantażować żydom groźbą, że jak nie dostaną Palestyny, to z Polski nie pójdą.

Zależność, o ile istnieje tutaj, jest odwrotna: jeżeli nie dostaną Palestyny, to może z Polski pójdą, a jeżeli dostaną ją, to z Polski napewno (jako zbyt potężni) nie pójdą.

BOŃCZA

NOWE KSIĄŻKI

Pamięci Romana Dmowskiego. 2. VIII. 1864—2. I. 1939. Warsz. Dziennik Narodowy 1939. Str. 144 z wielu ilustr. In folio.

Spytkowski Józef. Stanisław Brzozowski estetyk-krytyk. Kraków 1939. Prace z hist. lit. pol. nr. 6. Skład gł. w Kasie im. Mianowskiego. Str. 148.

Kurek Jalu. Drzewo boleści. Płacz po zmarłych rodzicach. Kraków 1938. (Książka niesprzedażna).

Adamski Stanisław Biskup. Szkoła wedle nauki Kościoła i uchwał Synodu. Poznań 1939. Str. 41.

Sprawozdanie Biblioteki Narodowej J. P. w Warszawie. R. 1937—1938. Warsz. 1938. Bibl. Nar. Str. 98.

Biuletyn przybytków Bibl. Nar. Rok I 1938 styczeń—czerwiec, Nr. 1—2.

Białkowski Leon dr. Żyd o neofitach polskich. Lublin 1938. Str. 20.

Dygasiński Adolf. Pisma t. 20—21. Gorzałka t. 1—4, t. 24. As. Warsz. Bibl. Polska Inst. Wyd.

Estaunié Edward. Tajemnicza lokatorka. Warsz. 1939. „Rój".

Przybyszewski Stanisław. Listy t. II. nr. 556—1159 z lat 1906—1917. Z 44 ilust. i portr. Warszawa. Wyd. Tow. przyj. nauki i sztuki w Gdańsku i Sp. Wyd. Parnas Polski. Str. 380—874.

Orzeszkowa Eliza. Pisma t. XX. Dwa bieguny. Warsz. 1939. Gebethner i Wolff.

NAUKA I LITERATURA

POWIEŚĆ O PRZEWROCIE

DOKOŁA książki Mariańskiego wiele się skupiło ciekawości, choćby z uwagi na niedawno uchyloną, samowolnie przez pelplińskiego publikana nałożoną konfiskatę.

Autor, który własnym sumptem puścił w świat powieść (do jej ukazania się najwidoczniej dużą przywiązywał wagę), nie zrobił tego dla jakichś literackich ambicyj, choć nie brak mu ani weny ani znajomości rzemiosła. Wydaje mi się, że jego utwór należy w pierwszym rzędzie traktować jako memoriał, informujący o niebezpieczeństwie i groźbie żydowskiego powstania w Polsce. Dla gładszego przełknięcia nadano temu formę powieścf. Czyta się zresztą jednym tchem, jak pierwszorzędną sensację.

Cokolwiekby żydziejące zwolna ale systematycznie snoby kawiarniane miały przeciw stronie literackiej „Zamachu", i tutaj należy bezstronnie przyznać książce spore zalety: wiele materiału najwyraźniej autopsyjnego, co się wyczuwa w wielu opisach i scenach; doskonała znajomość kraju i w związku z tem sprawnie działająca wyobraźnia, operująca całością z pełną swobodą; rozmach i pewność wizji dziejowej — wreszcie energia stylu.

Tak czy owak, jak wyżej powiedzieliśmy, egzemplarze powieści winny być dostarczone wszelakim „czynnikom" i rozpowszechniane pozatem wśród ludu, jako lektura może na przestrzeni pewnych lat zupełnie wyjątkowa. (Wartość popularyzatorska b. znaczna). Czytaliśmy już coprawda rzeczy podobne, np. w swoim czasie powieść St. Piaseckiego o zbliżonym temacie. Tutaj jednak dopiero z całą logiką i konsekwencją, operując bogatym materiałem doświadczenia, autor zstąpił z krainy fantazji na twardy grunt rzeczywistości i przekonał nas, że obawy jego są słuszne, a ostrzeżenie godne uwagi.

Zasadnicza koncepcja polityczna wygląda tu następująco: żydzi w t. zw. diasporze (rozproszeniu) prowadzą od wieków własną, imperialistyczną politykę. Teraz im ziemia poczyna się, w nacjonalizującej się coraz wydatniej Europie, palić pod stopami. Zewsząd wypędzani, gdy i w Palestynie ciasno i niebezpiecznie, szukają bezpiecznego azylum, gdzieby przeczekali złą koniunkturę. Wymarzonem oddawna miejscem jest Polska.

Długofalowym rytmem dokonywa się to dzieło nasycania żydostwem Polski. Ideałem jest dla władz żydostwa Judeo — Polska, siedlisko i wylęgarnia chłopsko-robotniczego tłumu żydowskiego, rezerwat rdzenia narodowego, siły pierwotnej, prostoty i płodności, tych istotnych warunków tęgości rasy.

W dziejach polskich zastrzyk żydowski powtarza się kilkakrotnie. Ostatnio przecież prasa (organ O.O. Jezuitów „Wiara i czyn", pogańska „Zadruga", „Merkuriusz") zwróciła uwagę na zastraszający objaw masowego (oczywiście, z pobudek czysto ziemskich) przyjmowanie chrztu przez żydów. Frankiści w najnowszem wydaniu. Społeczeństwo jednak dzisiejsze mniej jest naiwne niż szlachta z doby Konfederacji Barskiej i nie wpuści koniunkturalnych wyznawców. Dekonspiracja hiszpańskich marranów, czasu ostatniej rewolty za Pirenejami, wiele pod tym względem nauczyła.

Gdy tak nie pomaga i przenikanie i kupowanie dusz i opanowywanie ośrodków dyspozycyjnych, uciekają się żydzi, jak już nieraz w dziejach, do aktów siły. W książce Mariańskiego dokonują zamachu, rzezi na ludności stolicy i szeregu innych miast. Aby za wszelką cenę utrzymać się w upatrzonym zdawna kraju.

Niejednemu wyda się to fantasmagorią — i to i wytrucie połowy ludności Warszawy i prowincji przez żydowskich piekarzy i „koszernych" rzezaków, dostarczających mięsa z uboju rytualnego, jak również wytrucie wojska przez żydowskich dostawców. W ostatnich jednak czasach tak wiele fantasmagoryj stało się dotykalną rzeczywistością, że nie życzymy sobie ani nikomu pocieszać się w podobnie strusi sposób.

St. J.

[1]) J. Mariański. Zamach. Powieść. Pelplin — 1938. Nakładem autora. Str. 296.

Z TEATRU

OBRONA KSANTYPY

Komedia w 3-ech aktach L. H. Morstina: „Obrona Ksantypy" w Teatrze Polskim. Reżyseria Edmunda Wiercińskiego, kostiumy i dekoracje Teresy Roszkowskiej.

MATERIAŁ historyczny, którym by mógł się posłużyć komediopisarz, jest tutaj bardzo szczupły. To też pole dla fantazji — olbrzymie. Morstin wybrał temat, nastręczający znaczne efekty. Należy do nich egzotyczny nimb starożytności, zwłaszcza greckiej, która tak żywo zawsze obchodzi nas, dziedziców — poprzez depozyt w chrześcijaństwie średnich wieków i kulturę humanizmu — myśli Sokratesa, Platona, Arystotelesa i całego geniuszu Hellady. Również efektem nie do pogardzenia jest ówczesne tło obyczajowe i społeczne, tak przypominające nam współczesność; podobna luźność i nietrwałość rodziny, pijaństwo i prostytucja w sferze burżuazji i arystokracji, podobna pogarda tych ludzi dla cnoty i pracy, podobne obyczaje i stroje kobiet... Tylko ubiór męski bardziej wtenczas obnażał ciało i wyrażał bujniejszą fantazję — alo to znów egzotyczność, fascynująca w świetle reflektorów teatralnych.

Na tem tle podjął Morstin temat, niezmiernie ubogi w wątki historyczne; ale bystre oko utalentowanego komediopisarza dostrzegło w nim zaczepienie do skonstruowania dramatu. Sokrates i Ksantypa. Czyżby autorowi chodziło, jak to z okazji tej premiery pisano, o rehabilitację tej żony filozofa, której nazwisko stało się wyzwiskiem, trwającem przez dwa tysiące lat, jako imię pospolite, określające zrzędność, przekorę, złość, oschłość, gwałtowność małżonki, conajmniej w sile wieku, synonim ludowego „heroda-baby". Nie wydaje nam się, sądząc na podstawie dzieła, aby autor chciał dać tylko sensację, tworząc nową koncepcję Ksantypy.

Sokrates i Ksantypa — to bodaj odwieczny i powszechny problem pożycia małżeńskiego filozofa z przeciętną (Ksantypa później jednak wyrasta ponad przeciętność) gospodynią i nosicielką wdzięków. To sprawa teoretyka, artysty, myśliciela, apostoła, oderwanego od t. zw. życia, od rzeczy błahych, przyziemnych, przemijających, niedbającego, co będzie jadł i pił i w co się będzie odziewał, pozbawionego pieniędzy i elementarnych zainteresowań osobistemi potrzebami gospodarczemi; to sprawa stosunku takiego człowieka do żony, do kobiety, dla której zgoła co innego jest ważne, co innego jest sprawą palącą, kobiety, którą pociągają inne zagadnienia, dla której dążeniem, ideałem serio jest to, do czego dążą wszyscy, dobrobyt gospodarczy i używanie młodości. Jesteśmy świadkami, patrząc na komedię Morstina, nie tylko pasma konfliktów między Sokratesem, jako osobą, a Ksantypą; Sokrates, przez swą niewzruszoną postawę moralną, ze swej dziwnej wyżyny duchowej oddziaływa na duszę Ksantypy. Pojawia się w niej tragizm: łamie się i zmaga wewnętrznie jej natura arcykobieca, walczy w niej pierwiastek sokratyczny, heroiczny i paradoksalny, który w końcu zwycięża, z pierwiastkiem pospolitej kobiecości, sybarytyzmu i snobizmu.

Otóż ten problem, tak wspaniale przeprowadzony w sytuacjach „Obrony Ksantypy" — ma w ujęciu Morstina

jedną słabą stronę: Sokrates podbija Ksantypę nie tyle swą wielkością, swą genialną myślą (do której przecież Ksantypa mogłaby się jakoś intuicyjnie zbliżyć), co raczej swą sławą, opinią najmądrzejszego męża w Atenach, uznaniem arystokracji. Za dużą rolę w przeobrażeniu Ksantypy wydaje się, gra jej snobistyczna duma, że jest małżonką wielkiego człowieka, którego szanują i czczą ludzie znakomici i możni. Jest to, mówiąc paradoksalnie, za bardzo ludzkie ujęcie rzeczy; zwiększyła się sugestywność psychologiczna, wzrosło prawdopodobieństwo życiowe; ale owo, zapewne świadome, obniżenie koturnów, przewiało z atmosfery górny ozon heroizmu, osłabiło nieco piękno moralnego dźwignięcia się Ksantypy.

Ze spraw drugorzędnych poruszyć należy ubogi wątek dramatyczny; mało w komedii wydarzeń, powikłań; ludzie zachowują się raczej biernie, nie są powiązani jakąś żywą, dynamiczną akcją. Te braki wyrównywa jednak dobry rysunek psychologiczny postaci, wspaniałe sytuacje, dowcipne, mocne dialogi. Ładnie brzmi platoński „Sen Sokratesa", niesłychanie bliski chrześcijańskich pojęć o niebie i Bogu. Zgrabnie jest wpleciony, pod koniec II aktu, fragment rozmowy Fedrosa z Sokratesem, z dzieła Platona p. t. „Fedros". Mniej zgrabne i potrzebne są aforyzmy o nierównościach społecznych, włożone w usta Ksantypy. Autor czyni także uwagi polityczne, aluzje o rozumie wielkich śpiewaków i t.p. potrącając tak wiele strun chyba dla upowszechnienia widowiska, w myśl sentencji Goethego: „kto wiele przyniósł, przyniósł coś dla wielu — i w końcu wszystkich zadowoli sztuka"...

W roli Ksantypy wystąpiła Modzelewska; gra b. dobrze głosem, tylko niepotrzebnie jest przez cały czas jakoś nienaturalnie skręcona (przesadne ucieleśnienie niedoli), ustawia się zawsze bokiem do ludzi, albo *en trois quart* z tyłu i mówi przez ramię. Niechby się chociaż raz wyprostowała i ukazała publiczności swoje proporcje modelu do Afrodyte, poprzez fałdy szaty *a là* Antygona z obrazu w Zachęcie...

Sokratesa kreował Woszczerowicz, artysta dużej miary, dysponujący znaczną giętkością, szerokiemi możliwościami psychicznemi. Jego Sokrates był, b. przekonywujący, chwilami potężny, jak np. w kapitalnej scenie tańca.

Wreszcie wymienić przynajmniej wypada Niczewską, Żabczyńską, Kondrata, Wilamowskiego i Butkiewicza.

T. D.

ZE ŚWIATA MUZYKI

BAJKA, CZY RZECZYWISTOŚĆ?

NIE ZNALIŚMY dotąd należycie sztuki łotewskiej. Przed kilku laty pokazano nam w Zachęcie niewielką kolekcję prac malarzy współczesnych, jesienią roku ubiegłego oklaskiwaliśmy Kaktińsza w Operze, wreszcie przed kilku dniami wyczytaliśmy zapowiedź gościny łotewskiej trupy baletowej z ryskiej Opery Narodowej. Wielu melomanów stołecznych wyobrażało sobie, że będzie to poziom wysoki, ale obawiano się, czy wniesie on nowe wartości. Piękne, ozdobione barwami narodowemi Łotwy, afisze zapowiadały trzy rozmaite programy występów gości łotewskich, a mianowicie: trzyaktowy balet Gliera „Czerwony mak", „Scaramouche" Jana Sibelnisa, wreszcie jednoaktowe balety Kalnińsza, czołowego kompozytora łotewskiego: „Jesień" i „Słowik i róża". W końcu krótki utwór Maurycego Ravela — „Bolero". Już sam wybór programu świadczył o szerokim zasięgu zainteresowań i możliwości choreograficznych zespołu. Rzecz prosta, zainteresowały nas najbardziej dwa balety łotewskiego kompozytora, a zarazem dyrygenta, Jana Kalnińsza. Dwa odmienne pod względem nastroju obrazy: „Jesień" i „Słowik i róża" dały mi już pierwszego wieczoru wyraźne i skrystalizowane pojęcie o wartości łotewskich tancerzy i tancerek. Na pierwszy plan wysuwają się: ich niezwykła muzykalność, dyscyplina i pierwiastek dramatyczny. Tak! Przywykliśmy patrzeć na ewolucje baletowe jedynie z punktu widzenia techniki tanecznej, efektów świetlnych, pięknych dekoracyj.

Ale artyści łotewscy z Lemanisem na czele posiadają w swoim wyrazie coś więcej. Oni nie tylko świetnie tańczą, ale i grają. Na twarzach solistów i całego zespołu maluje się głębokie zrozumienie dla treści utworu. Dało się to szczególnie zauważyć w „Czerwonym maku" Gliera (tańce marynarzy, scena przy okręcie) oraz w obu utworach Kalnińsza. Poziom artystyczny całego zespołu jest tak wysoki, że poprostu trudno jest odróżnić solistów i solistki od „ciała baletowego". Wszyscy oni, kształceni na tradycjach słynnego baletu rosyjskiego Fiodorowej i Pawłowej, tańczą w sposób wręcz doskonały. Nie sposób wyliczyć tych wszystkich ewolucji, które oklaskiwano frenetycznie przy otwartej kurtynie. Nie sposób również oddać należnych słów najwyższego uznania dla najcelniejszych solistów zespołu rosyjskiego, składającego się ze 128 osób!

Na pierwszy plan wysuwa się bezsprzecznie talent Oswalda Lemanisa i jego dwie znakomicie pomyślane kreacje: awanturnika Lin-Szan-Fu w „Czerwonym maku" oraz studenta w „Słowiku i róży". Wysoka klasa sztuki tanecznej równoważy się u tego młodego artysty z głęboko pomyślaną stroną ekspresji dramatycznej, co jak, to już zaznaczyłem, jest jedną z cech najbardziej charakterystycznych całego baletu łotewskiego. Na czele solistek postawiłbym Edytę Feifere, a obok niej panie: Primze, Prike, Czernową, Tracewską i długi szereg im podobnych. Niech mi darują, że dla braku miejsca piszę o nich generalnie.

Z tańcem łączy się integralnie strona muzyczna. Balet Gliera nosi cechy rosyjskiej muzyki z okresu poromantycznego. Wybitny kompozytor rosyjski (dziś sowiecki) daje w „Czerwonym maku" doskonałą instrumentację i dużo kolorystyki o zabarwieniu ludowem (szczególniej tańce w akcie I-szym). Sibelnis jest może za rozwlekły („Scaramouche"); Ravel, jak zwykle — przejrzysty i nawskroś nowoczesny.

Zato Jan Kalnińsz, autor dwu baletów łotewskich, wydaje mi się, grawituje ku nowoczesności z dużym umiarem. Strona melodyjna jest pełna uroku, a orkiestracja, pomimo użycia najnowszych środków instrumentalnych, nie przytłacza nas. Kulnińsz jest jednocześnie wybornym dyrygentem, daje świetne tempa i czuwa nad precyzją wykonania całości utworu. Temu młodemu kompozytorowi wróżyć należy świetną przyszłość. Już dziś jest Kalnińsz chlubą muzyki łotewskiej. Spotkało go w Warszawie w pełni zasłużone uznanie.

Dzięki utalentowanym dekoratorom, jakich Łotwa posiada kilku, strona malarska we wszystkich baletach stała na wysokim poziomie. Takich obrazów, jak burza w „Jesieni", lub okręt w „Maku", jak oba obrazy ze „Słowika i róży", nie zapomina się. Autorem tych przepięknych dekoracji są: Liberts, Rożlapa i Strunke.

Była to istna bajka, jakiej od dziesiątków lat nie widzieliśmy na scenie warszawskiej. Gościna baletu łotewskiego jest zasługą nowego ministra pełnomocnego Łotwy w Warszawie, p. Ludwika Ekisa; znaczenie jej zarówno artystyczne, jak propagandowe było ogromne.

ASPER

Do numeru obecnego dołączamy dla dogodności odbiorców „MYŚLI NARODOWEJ" blankiety rozrachunkowe.

O PRAWDZIWE ZJEDNOCZENIE

Gdy dwa lata temu pułkownik Adam Koc wydał odezwę o zjednoczenie wszystkich narodowo myślących Polaków, społeczeństwo poczuło ulgę, sądząc, że sfery wpływowe przekonały się, iż przyszłość Polski może opierać się tylko na Polakach, a nie na abstrakcyjnem pojęciu państwa, nie rozróżniającem rdzennej ludności polskiej od innych obywateli legitymujących się tylko paszportem polskim, dbających jedynie o interesy swoje i swoich pobratymców.

Polacy w zasadniczej sprawie obrony niepodległości i granic oraz tworzenia silnej armii są zjednoczeni, a zjednoczenie wszystkich odłamów narodowych jest pożądane w celu obmyślenia odpowiedniego ustroju Polski i planu działania, w celu podniesienia autorytetu Polski w stosunkach zewnętrznych, wzmożenia sił ekonomicznych, sprawiedliwego podziału bogactw, ustalenia praworządności i obrony od deprawowania i demoralizowania społeczeństwa przez siły międzynarodowe i mniejszości narodowe, mające odrębną etykę i dążące do opanowania świata. Zjednoczenie narodowe będzie możliwe, jeżeli przystąpią do niego ludzie szczerzy, oddani tylko Polsce, nie będący zarozumiali, że oni są zdolni tylko rządy sprawować, nie myślący o karierach i różnych gierkach, ludzie o wysokiej etyce, silnym charakterze, mających odwagę zwalczać wszelkie nieprawości i obłudę.

Jednym z najważniejszych odcinków zjednoczenia jest kwestia żydowska. Nikt środków brutalnych nie popiera, jeżeli zaś młodzież w pewnych wypadkach do nich ucieka się, to nic dziwnego. Rozumiejąc całą grozę niewoli żydowskiej, a widząc ze strony przełożonych sprzeciw nawet w tak drobnej sprawie jak żądanie prawa usunięcia się od obcowanie z młodzieżą żydowską i nie zasiadania z nią na wspólnej ławie, traciła w pewnych chwilach panowanie nad sobą i pomimo obawy zwichnięcia całej swej przyszłości wobec stosowanych represji, dopuszczała się ekscesów.

Twierdzenie pewnych grup, że wpływy żydowskie będą usunięte przez emigrację, nikomu trafić do przekonania nie mogą, emigracja może trwać dziesiątki lat, a ilość osób emigrujących zastąpi ilość nowourodzonych. Społeczeństwo ma prawo domagać się od tych, którzy stworzyli obóz zjednoczenia, żeby wobec nędzy polskich mas i demoralizacji jaką szerzą w nich komuniści, składający się przeważnie z żydów, wyraźnie propagowali nieobsadzanie przez nich posad w urzędach i instytucjach, niedawanie koncesyj dostaw i t. p.

Obecnie obowiązkiem ludzi, wyznających zasady narodowe jest zwracać się do mas robotniczych włościańskich a nawet i do inteligencji w celu wpajania etyki chrześcijańskiej, podnoszenia moralnie wzwyż, a zarazem wyjaśniania, do jakiego ustroju w Polsce należy dążyć, jakie są obowiązki obywateli wobec Państwa, a Państwa wobec obywateli i jakie środki winny być stosowane, żeby nie było u nas bezrobotnych i każdy miał dach nad głową.

Gdy etyką chrześcijańska i patriotyzm obejmie szerokie masy i inteligencję, to niewątpliwie stworzy się zjednoczenie narodowe wszystkich Polaków myślących narodowo

GUSTAW ZABŁOCKI

LIST DO REDAKCJI

Szanowna Redakcjo. W związku z obchodem w bieżącym miesiącu 30 rocznicy zgonu ś. p. Mieczysława Karłowicza, — naszego ciotecznego brata, — prosimy uprzejmie o udzielenie na łamach „Myśli Nar." miejsca uwagom tyczącym się jednego tylko fragmentu tych podniosłych, w smutku uroczystości. Chodzi o koncert w Zakopanem z 9 lutego b. roku poświęcony Mieczysławowi Karłowiczowi, którego to koncertu organizację i kierownictwo artystyczne objęło Polskie Radio. Skorzystaliśmy w Warszawie z audycji, doskonałej pod względem technicznym — przy bardzo pomyślnych warunkach odbioru. Cieszyliśmy się, że wszystkie rozgłośnie Polskiego Radia, Oslö i Helsinki również poznają tego dnia dzieło Mieczysława w całym ich pięknie i bogactwie. Podczas audycji odczuwaliśmy, że wykonanie stało na wysokim poziomie. Jako najbliżsi krewni Zmarłego autora pieśni, wykonanych 9 lutego b.r. w Zakopanem— poczuwamy się jednak do obowiązku zabrania głosu — gdy w pieśni — czwartej bodaj zrzędu — p. t. „Najpiękniejsze piosenki" w wykonaniu poważnej artystki pani Bandrowskiej-Turskiej — znalazły się wstawki koloraturowe (długi trel na wstępie przed tekstem i właściwą melodią oraz „figurki" koloraturowe w tekście pod koniec pieśni), — których ś. p. Mieczysław ani w tej pieśni, — ani w żadnej innej swojej pieśni — nie napisał.

Koloratura obca jest stylowi pieśni Mieczysława. Płynie w nich bogata melodia liryczna, — częściej smutna — rzadziej — jak w „Najpiękniejszych" pogodna. Zawsze równa pełna, naturalna. Taką też jest i partia fortepianowa w każdej pieśni; zastąpiona w Zakopanem instrumentacją pana Fitelberga, która, — zdaniem naszem, — mogłaby zastąpić fortepian z takiem lub innem powodzeniem — na każdym koncercie — z wyłączeniem jednak koncertu w rocznicę zgonu autora. Jesteśmy więc zdania że „Najpiękniejsze piosnki" należało w dniu 9 lutego 1939 podać Warszawie, rozgłośniom Polskiego Radia, Oslö i Helsinkom tak, jak była ona napisana przez Mieczysława w Karolinowie koło Wiszniewa (1894—1896) bez dodatków koloraturowych i z towarzyszeniem fortepianu.

Ostatnia uwaga odnosi się również i do innych pieśni wykonanych pod względem melodii bez zarzutu.

Łączymy wyrazy prawdziwego szacunku

Ze Śniadeckich Ludwika Zaniewska

Henryk Śniadecki

Warszawa dn. 14 lutego 1939.

NA MARGINESIE

Osobliwy to kult, który w swym programie współzawodnictwa może znaleźć miejsce na tak brutalne awantury jak to widowisko, które światu literackiemu urządziła pani Wielopolska.

Mogła nam go oszczędzić, bo przecież to skandal publiczny takie obnażanie swojej małości. Czemże jest furia, jak nie zaćmieniem umysłu?

Skonfiskowano

Mówimy o napaści p. Wielopolskiej na Kazimierę Iłłakowiczównę.

*

Gdyby nasi politycy cząstkę tej energii myślowej, którą obracają na nabijanie opinii publicznej w butelkę, poświęcili na rzeczowe poznawanie swych zadań, byłoby może mniej groteskowo, ale za to pogodniej.

*

Pokazało się, że zawołanie wyborcze, plakatowane na murach: „Zapamiętaj cztery słowa: Sejm to ordynacja nowa!" — było tylko żartem, zrymowanym przez płatnego literata na zamówienie Ozonu. Wierszyk ten skomponowano w jednym z tinglów nad ranem pod dobrą datą.

*

Skonfiskowano

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA, Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.